- Chorzy i bioterapia
- Dżi Dżi Dżi
- Syn ofiarą matki

art.157
parag.1
K.K.

EKSPRES REPORTERÓW

EKSPRES REPORTERÓW

- Barbara Ostrzycka
  Marek Rymuszko
  Stąd do nadziei
- Jerzy Łaniewski
  Trzy spojrzenia na magnificencję
- Janusz Hańderek
  Nie wiem czy to ja zabiłam
- W cyklu „KTOŚ TAKI JEDEN"
  sylwetka
  WŁADYSŁAWA ŚLAZYKA

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1983

Redaguje zespół
Jerzy Ambroziewicz, Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Kazimierz Koźniewski, Aleksander Rowiński

Opracowanie redakcyjne
Hanna Maślankiewicz

Projekt graficzny okładki
Marek Płoza-Doliński

Redaktor techniczny
Anna Ziemak

Korekta
Małgorzata Lewandowska

© Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza 1983

ISBN 83-03-00308-9

4H.Sz.until.End.of.T.!

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1983

Wydanie I. Nakład: 100 000 + 350 egz.
Objętość: ark. wyd. 6,73, ark. druk. 6,31.
Papier: druk. kl. V. 70 g, rola 71 cm.
Skład, druk i oprawa: PZG w Krakowie
Al. Pokoju 3. Zam. 1496/83 M-24.
Nr prod. X-13/1160/82
Tomik 7/83.

Anna Ostrzycka, Marek Rymuszko

STĄD DO NADZIEI

Zafalowało, zawrzało, zakotłowało się. Tłum runął przez otwarte drzwi, prąc do wnętrza. Gdzieś z boku, wepchnięta między framugę a ścianę, rzęziła głucho woźna, która przed chwilą przyniosła klucz. Złorzecząc miłośnikom wiedzy tajemnej, próżno usiłowała wydostać się z pułapki. Tymczasem ludzki potok płynął nieprzerwaną strugą, wypełniając szczelnie salę, wszystkie jej zakamarki. Wkrótce zabrakło miejsc i zaczęto obsiadywać schody. Atmosfera była gęsta, nerwowa, podminowana.

Pół godziny wcześniej szatniarka Pałacu Kultury i Nauki — odbierając kolejny płaszcz, powiedziała do znajomej:

— Wszyscy do tysiąc trzy, tam się zbierają ci znachorzy.

Główny bohater klubowego spotkania Stowarzyszenia Radiestetów to młody, szczupły mężczyzna. Kiedy wywołano jego nazwisko, lekko uśmiechnął się. Poprosił zebranych, by wstali z miejsc i spróbowali się odprężyć. Potem wyciągnął przed siebie ręce i nagle zastygł z nimi w powietrzu jak kapłan, udzielający wiernym błogosławieństwa. Jego twarz zmieniła się: przez ściągnięte rysy przebiegł jakby skurcz — rezultat nagle podjętego wysiłku. Ręce zaczęły się z wolna obniżać, zgodnie z żelaznymi regułami oddziaływania mesmerycznego. Sala

milczała. Potem ktoś zawołał, że czuje mrowienie w palcach, ktoś inny poczuł ciepło, zaś sąsiad z prawej strony skonstatował ze zdziwieniem, że gdzieś się podziało jego całodzienne zmęczenie. Wreszcie nastąpił koniec seansu i salę wypełnił gwar rozmów.

Takie było nasze pierwsze spotkanie z Pawłem Połoneckim, o którym rok wcześniej, nim jeszcze na horyzoncie bioenergoterapii pojawiła się wielka gwiazda Stanisława Nardellego, gazety napisały: polski Harris.

WIZJER: REPORTER — ...NIC NIE PASUJE DO STEREOTYPU.

Nim dojdzie do pierwszego kontaktu z „uzdrowicielem" — odwiedzimy Polską Kronikę Filmową. W małej salce obejrzymy wydobyte z archiwum na naszą prośbę dwa wydania kroniki, nakręcone w 1981 roku. Na pierwszy ogień pójdą migawki z odbytego w Warszawie ogólnopolskiego sympozjum „Bioenergioterapia i radiestezyjne metody diagnostyczne". Kamera pokazuje eksperymenty przeprowadzone przez bioenergoterapeutów. Wśród nich są mgr Jerzy Rejmer — członek Zarządu Stowarzyszenia Radiestetów w Warszawie, Barbara Lenczuk ze Szczecina — obok zdolności bioenergetycznych obdarzona darem jasnowidzenia i Paweł Połonecki — jeszcze pozostający w cieniu innych, już uznanych. W świetle fotoreporterskich fleszy połyskują metaliczne różdżki i wahadełka. Atmosfera wielkiego misterium.

I druga impresja filmowa bardziej już poetycka. Tytuł „Mój promień". W kadrze dłonie Połoneckiego: duże, niespokojne. Mało słów, wyrafinowana gra obrazu. Cienie i światło. Chorzy i przyroda. Temat zrealizowała redaktor Barbara Dutkiewicz.

Z relacji red. Dutkiewicz:

— Kiedy posłano mnie na sympozjum, żebym coś

z niego nakręciła, nie traktowałam tego zbyt poważnie. Ot, myślałam, atrakcyjny temat, który można będzie dobrze sprzedać. Zmieniłam zdanie, kiedy obserwując eksperymenty, porównałam diagnozy stawiane przez bioenergoterapeutów ze stanem faktycznym. Połonecki zwrócił moją uwagę chyba dlatego, że był z całego grona najmłodszy i trochę zagubiony. W którymś momencie stwierdził, że jest w stanie postawić diagnozę zdrowotną również ze zdjęcia. Zirytowało mnie to. Wyciągnęłam z torebki fotografię córki. „Co pan o niej powie?" Zbadał zdjęcie i zadał pytanie dotyczące schorzenia rzeczywiście istniejącego. To było dla mnie zupełnie niepojęte!

Umówiłam się z Pawłem w Kronice. Podczas eksperymentów, do jakich doszło, wykrył u jednej z naszych koleżanek, asystentki montażowni, kamienie w woreczku żółciowym. Nie odczuwała ich jeszcze, więc nie bardzo wierzyła w rozpoznanie. Badania szpitalne potwierdziły diagnozę. Kamienie trzeba było operacyjnie usunąć. Stanowiło to świadectwo niezwykłych zdolności Pawła. Dodam, że podczas oddziaływania mesmerycznego na kolegę, zastępcę redaktora naczelnego PKF, który ma kłopoty z sercem, poczuł się on słabo, był bliski omdlenia. Eksperyment przerwano.

Wkrótce potem Połonecki, z którym zdążyłam się zaprzyjaźnić, odwiedził nas w domu. Mąż miał wówczas silne bóle barku związane z przeziębieniem. Nie powiedział o tym słowa, a Połonecki od progu: „Co to, widzę, że bark boli?" Przyłożył ręce, potrzymał przez chwilę — ból zniknął bez śladu. No i najbardziej spektakularny przypadek — z Mirosławem Chrzanowskim do 1981 roku naczelnym Polskiej Kroniki Filmowej, obecnie redaktorem w Krajowej Agencji Wydawniczej:

— Kiedy Basia przyprowadziła Połoneckiego do

Kroniki, traktowaliśmy to początkowo jako zabawę. Oho, przyszedł cudotwórca. Miałem od pewnego czasu bóle w boku. Nie potrafię powiedzieć co to było, lekarze również nie wiedzieli. Nie znaleźli niczego, a mnie bolało jak diabli. Po zbadaniu różdżką Połonecki powiedział: „Panu robili operację". Zdziwiłem się; rzeczywiście tak było. Usuwano mi kamienie żółciowe. Jeszcze bardziej zdumiałem się, gdy terapeuta przyłożył mi z obu stron ręce na wysokości brzucha. Odczułem z przodu ciepło, zupełnie jak by to był worek rozgrzanego piasku, natomiast z tyłu dojmujący chłód. W sumie zabieg został powtórzony trzykrotnie. Cóż mogę powiedzieć? Ból zniknął i do tej pory — a od tamtego czasu minął już ponad rok — nie powrócił. Pragnę dodać, że należę do ludzi wyjątkowo niepodatnych na sugestię.

Pierwsza rozmowa z Połoneckim. Jeszcze zdawkowa, nieufna. Na razie badamy się nawzajem, sondujemy grunt. Nasze pytanie o sposób przekazu informacji dotyczącej chorych stref rozmówca zbywa ogólnikową sentencją: „można by o tym długo mówić". Nie ustępujemy: „Pomówmy krótko" — proponujemy. Połonecki wyjaśnia, że kiedy koncentruje się na pacjencie „widzi" na jego ciele ciemniejsze plamy, oznaczające miejsca chore, odbiera ich promieniowanie. Po czym dorzuca: „Zdaje się, że nie bardzo mi wierzycie, więc dobrze. — Pani — zwraca się do osoby, która nam towarzyszy i którą zobaczył po raz pierwszy w życiu — ma coś nie w porządku z przydatkami, a ty — to już do mnie — masz nery jak pakamery.

— Nery jak pakamery... W innej sytuacji człowiek oddałby się filozoficznym rozważaniom, czy język „uzdrowiciela" na ogół kojarzącego się w naszej świadomości z namaszczoną powagą, ba, niemal mi-

stycyzmem, nie wydaje się cokolwiek szokujący. Ale ta refleksja zostaje bez reszty wyparta przez inną: diagnoza jest t r a f n a. Od kilku dni rzeczywiście bolą mnie nerki, przeziębione w pociągu, a znajoma ma kłopoty z zajściem w ciążę, leczy się u specjalistów.

Konsternacja

— Widzicie? — śmieje się uzdrawiacz zadowolony z osiągniętego efektu. I natychmiast dodaje: „Nic się nie martwcie, podleczymy".

Więc chyba już w tym momencie należy powiedzieć, że Połonecki w niczym nie potwierdza stereotypu „uzdrowiciela" ukształtowanego w Polsce w dużej mierze przez Clive'a Harrisa. Jest młodym człowiekiem „na luzie", nie stroniącym od żartów. Ma 30 lat i 167 cm wzrostu; waży zaledwie 54 kilogramy. Sylwetka bardzo szczupła. — To — jak twierdzi — rezultat wypromieniowywanej przez niego energii, której zasoby nie są nieograniczone.

Pali papierosy, ale się nimi nie zaciąga, pije rzadko i mało. Wykształcenie niepełne średnie — zawodowe. Zawód wyuczony: ślusarz, zawód wykonywany — ekonomista. Na co dzień pracownik banku; działa w organizacji młodzieżowej. Mógłby wprawdzie zrezygnować z państwowej posady, ale nie chce. Nie tylko dlatego, że, wedle ustawy o osobach uchylających się od pracy, która zapisała jedną z najdziwniejszych kart w dziejach naszej legislacji zostałby uznany za „pasożyta społecznego". Połonecki po prostu na razie nie zamierza poświęcić się wyłącznie bioenergoterapii. Tłumaczy, że zna granice wydolności swojego organizmu. Jest w stanie pomóc określonej liczbie chorych. Gdyby robił to codzien-

nie, niejako zawodowo, granicę tę nieustannie by przekraczał. W dzień powszedni pozostaje więc urzędnikiem. Popołudniami, wieczorami jeździ do chorych, chorzy umawiają się z nim prywatnie. W soboty od ósmej do czternastej, a praktycznie o wiele dłużej, wspólnie z doktorem Leonardem Wilkiem przyjmuje pacjentów w Spółdzielni Lekarzy Specjalistów.

Nic w tym obrazie nie pasuje do stereotypu. Dokładnie nic. Może z wyjątkiem chorych, którzy co sobota od wczesnych godzin rannych wyczekują pod drzwiami mieszkania wynajmowanego przez spółdzielnię. Przybywają z całej Polski — nocnymi pociągami, samochodami, samolotami. Często pod opieką rodzin. Wielu traktuje wizytę u bioenergoterapeuty jako ostatnią deskę ratunku. Dla nich jest to podróż po nadzieję odebraną przez lekarzy.

Wizjer: chorzy — obszary nadziei

Z listu Barbary G. z Częstochowy: *Mam 22 lata i bardzo, bardzo gorąco proszę pana o pomoc. Choruję 3 lata, byłam w różnych szpitalach. Mam chorą lewą nogę i obecnie chodzę o kulach. Proszę mi wierzyć, że już naprawdę nie wiem co robić. Czekam na wyznaczenie mi wizyty.*

Zwracam się z gorącą prośbą o uleczenie mego 5-letniego syna, który chronicznie zapada na choroby układu oddechowego. Urodziłam go po 7 latach małżeństwa, więcej dzieci nie będziemy mieli z powodu konfliktu krwi. Wszystko byłoby dobrze, gdyby stale nie chorowało. Ciągle ma katar, powiększone migdały, często gorączkuje. Leczę go u specjalisty laryngologa, ale bez efektów; jedna infekcja goni

drugą. Chłopiec zażywał już wszystkie antybiotyki, nie pomogła też zmiana klimatu (Krystyna M. z województwa poznańskiego).

Do uzdrowiciela prośba. Po wysłuchaniu w telewizji audycji o pańskiej pomocy ludziom chorym zwraca się z wielką prośbą Anna K., chorująca już od roku na stwardnienie lewej piersi. Proszę o odpowiedź czy mogę przyjechać do Warszawy, gdyż zamieszkuję na wsi (list z bielsko-podlaskiego).

Dowiedziałam się od znajomych, że pomógł Pan ludziom w wielu chorobach, przyjeżdżają do Pana z różnych stron. Znalazłam się w ciężkim położeniu. Od paru lat nie chodzę na nogi. Lekarze stwierdzili sclerosis multiplex. Przebywałam w klinice, lecz ani na chwilę nie uzyskałam poprawy. Podobno na tę chorobę nie ma leku. Jestem osobą młodą, mam 28 lat. Najlepsze lata życia spędzam w łóżku. Ogarnia mnie rozpacz, lekarze są bezradni". (Maria T. woj. nowosądeckie).

Wizjer: reporter — ...za bardzo się spalamy

Pierwsza sobota października, wcześnie rano. W spółdzielni lekarskiej długa kolejka oczekujących. Spastyczne dzieci w wózkach i na rękach, reumatycy, wrzodowcy. Sporo ciężkich schorzeń neurologicznych. Są nowotwory. Są sparaliżowani. Atmosfera gęsta, napięta. Kłótnie, kto był trzydziesty, a kto trzydziesty pierwszy. Nieustępliwość w obronie miejsca po zdrowie, nawet w obliczu matki dźwigającej bezwładne dziecko („Typowy zespół przysadkowo-nerczycowy" — powie doktor Wilk).

Jeszcze ciągle nie ogarniamy wyobraźnią wszyst-

kiego na co zdecydowaliśmy się, wchodząc w ten świat z notesem w ręku. Refleksja zjawi się później, gdy po kilku miesiącach dzwoniących telefonów, nagłych jazd do szpitali i ciągłego ocierania się o śmierć, uświadomimy sobie, że psychika reportera, jego osobowość, nie jest monolitem. Pod wpływem obcowania z ludzkimi cierpieniami zaczynają w niej niepostrzeżenie zachodzić zmiany. W którymś momencie przestaje być ważny sam reportaż, jego rytm i faktura. Nadejdzie chwila, gdy ciśnięty w kąt notes z zapiskami zakończy swoją służebną funkcję, a my nadal będziemy s z u k a l i prawdy o cudzym losie, o dramatycznych próbach jakim jest poddawany ludzki organizm i charakter.

Na razie przytłacza nas jeszcze doraźność. Wkładamy białe fartuchy, wtapiamy się w tłum chorych. Obserwujemy, słuchamy. Pierwsza próba penetracji zawodzi wskutek popełnionego już na wstępie błędu. Ałła Celińska, pielęgniarka stale współpracująca z Połoneckim w spółdzielni — osoba — jak się przekonamy — o głębokiej wrażliwości i wielkim sercu; nim przeprowadzi nas przez zatłoczony korytarz, powie usprawiedliwiająco do ludzi, że jesteśmy dziennikarzami. Tłum i tak podenerwowany momentalnie jeży się, tężeje. Słyszymy pod naszym adresem nieprzychylne docinki. Tu nie lubią dziennikarzy. Zresztą, nie jesteśmy pewni czy tylko tu i akurat tu.

Ałła usprawiedliwia się; chciała dobrze, wyszło źle. Trudno, stało się. Następnej soboty wyciągniemy wnioski z tego doświadczenia. Będziemy pracowali inaczej, bardziej anonimowo, bacząc jednak, by w niczym nie naruszyć zasad etyki dziennikarskiej. Łącznie spędzimy w „Izisie" dziewięć jesiennych sobót.

Dziewięć długich, trudnych dni.

Godziny nadziei. Paweł Połonecki skupiony, poważny. Doktor Wilk studiuje karty informacyjne. Rozmowy, diagnozy, terapia. Wielogodzinny pochód ludzkich nieszczęść.

Starsza kobieta, rencistka. Guz nowotworowy mózgu, przerzut na oko. Nasilające się bóle, pogranicze życia i śmierci.

Półtoraroczne spastyczne dziecko. Bezradność lekarzy. Rodzice młodzi, przystojni. Zrozpaczeni. Dotyk rąk. Czoło Pawła przy główce malca. Milczenie.

Lżejszy przypadek: rodzice i dwie córki. Wchodzą wszyscy razem. Jedna z dziewczynek przeszła przed czterema laty zapalenie opon mózgowych, od tego czasu cierpi na silne bóle głowy. Pod wpływem dotyku ból niknie, ustępuje... Na jak długo? Próba oddziaływania mesmerycznego. Paweł unosi ręce i wolno je opuszcza. Tego typu oddziaływanie ma na celu objęcie bioenergią całej osoby, dodanie jej energii i pobudzenie funkcjonowania organów wewnętrznych.

Efekty doraźne: ojciec, z zawodu ogrodnik, twierdzi, że po zabiegu czuje się tak, jak po dożylnym wstrzyknięciu przepisanego przez lekarza wapna, natomiast młodsza z dziewczynek omdlewa, robi jej się słabo. Doktór Wilk i Ałła są przygotowani na takie niespodzianki. W pobliżu czeka karetka i ciśnieniomierz. Omdlenia pod wpływem działania bioenergetycznego będziemy obserwowali jeszcze niejednokrotnie. Oznaczają, jak tłumaczy lekarz, że w konkretnym przypadku jednorazowa dawka bioenergii okazała się zbyt duża.

W korytarzu podtrzymywana przez matkę, stawia nieśmiałe kroki Małgosia. Do niedawna nie chodziła w ogóle, lekarze nie dawali jej żadnych szans na wyzdrowienie. Rozpoznanie choroby: nerczyca. Po kilku wizytach u bioenergoterapeuty dziecko wyka-

zuje znacznie większą ruchliwość, samodzielnie siada, próbuje stawać na nogach. Obserwacje matki — podnieconej, wzruszonej — potwierdza obecna przy rozmowie lekarz pediatra.

Młody mężczyzna. Początki Bürgera. Stosowane dotychczas środki nie pomogły. Trzecia wizyta. Jakby lekka poprawa. Skóra na dużym palcu u nogi przestała się łuszczyć, a po naciśnięciu jej bardzo wolno zaczyna dopływać krew. Trudno powiedzieć czy to skutek oddziaływania bioenergetycznego czy może mikroelementów przepisanych przez doktora Podbielskiego, a może obu tych czynników razem? Paweł coraz bardziej zmęczony; przyjął dziś już kilkadziesiąt osób. Jego twarz robi się szara, ziemista.

Wizjer: chorzy — śmierć po raz pierwszy

Drogi Panie

Alek umarł 5 lutego. Pan się zresztą chyba tego domyślał. Niestety nie udało się Go uratować, ta odmiana białaczki jest chyba najbardziej złośliwa ze wszystkich. Jesteśmy Panu bardzo wdzięczni, dzięki Pana pomocy nie cierpiał wiele. Jak słyszymy od lekarzy, dzieci chorujące na białaczkę szpikową mają silne bóle kości i stawów, to się utrzymuje przez cały czas choroby, ale Alek tego zupełnie nie miał. Na dwa dni przed śmiercią wystąpiły dość silne bóle brzucha, możliwe, że to był wylew. Umarł bardzo spokojnie. Serdecznie Panu za wszystko dziękujemy i przesyłamy pozdrowienia (Nazwisko i adres rodziców dziecka w dokumentacji reporterskiej).

Wizjer: reporter — ...więcej światła

Znowu w spółdzielni lekarskiej. Jest wreszcie przypadek z rzędu w i e l k i c h; taki który elektryzuje wszystkich pracujących na co dzień z bioenergoterapeutą. Z Radomia przyjechał niewidomy, Roman P. Był w spółdzielni przed dwoma tygodniami.

Roman P. przed czterema laty uległ ciężkiemu wypadkowi. Wapno, które chlapnęło z agregatu tynkowego, spowodowało poparzenie gałek ocznych. Mężczyzna przestał widzieć, miał odtąd tylko odczucie światła. Nie pomagały zabiegi i interwencje lekarzy — utratę wzroku uznano za trwałą. I oto po tygodniu jaki upłynął od pierwszej wizyty w spółdzielni, Roman P. opowiada rzeczy niezwykłe. Po raz pierwszy od czterech lat zaczął poruszać powiekami (przedtem były nieruchome) pojawiły się również łzy, których nie miał od chwili wypadku. Zwiększyło się wreszcie poczucie światła.

W gabinecie radosne podniecenie. Uzdrawiacz triumfujący, uśmiechnięty. Dotyka powiek Romana P., długo gładzi okolice jego oczu. Umawiają się za tydzień; my ze swej strony prosimy o przywiezienie dokumentacji lekarskiej, która pozwoliłaby precyzyjnie określić stan chorobowy, będący rezultatem wypadku.

W sąsiednim pokoju czeka młody mężczyzna ze stwardnieniem rozsianym. Bardzo ciężki przypadek. Połonecki uważa sclerosis multiplex za jedno z najcięższych dla bioenergoterapeuty schorzeń. — Wydatek energii jest bardzo duży, efekty — przyznaje — małe lub żadne. Z dwojga złego woli nowotwory, choć i one „ciągną" wiele energii. W kilku przypadkach udało mu się — jak utrzymuje — doprowadzić do ich trwałego zahamowania a nawet wyleczenia. Nazwisk pacjentów, niestety, nie pamię-

ta. Czy zmiany były widoczne na rentgenowskiej kliszy? Tak, były. Dlaczego więc nie zdokumentowano tych przypadków? Połonecki macha ręką. Nigdy nie miał do tego głowy, a inni też się jakoś nie zatroszczyli i przepadło.

Wierzyć nie wierzyć? I czy to są w ogóle rzeczy do wierzenia?

Rozmowa z Leonardem Wilkiem, lekarzem współpracującym z Pawłem Połoneckim.

— Gdzie się poznaliście?

— W Stowarzyszeniu Radiestetów. Jestem jego członkiem.

— Czy potwierdza pan zdolności bioenergetyczne Połoneckiego?

— No, oczywiście, dlatego razem pracujemy. Mówiąc nawiasem, sam czuję emanowane przez niego promieniowanie, tyle, że już jestem do tego przyzwyczajony.

— Czy pan bada uzdrawiacza po jego oddziaływaniu na chorych?

— Tak, od czasu do czasu.

— Co pan stwierdza?

— Najczęściej podwyższone ciśnienie i przyśpieszone bicie serca.

— Stawiane przez pana diagnozy lekarskie nie zawsze pokrywają się z rozpoznaniem radiestezyjnym. Jak pan to tłumaczy?

— Powiedziałbym inaczej: one dość często się pokrywają. Rozbieżności dotyczą przede wszystkim przypadków, gdy ja nie mogę jeszcze medycznie stwierdzić faktu choroby, natomiast bioenergoterapeuta już ją odbiera. W grę może bowiem wchodzić zakłócenie pola bioenergetycznego w organizmie, które dopiero zapowiada właściwą chorobę, sygnalizuje zagrożone miejsce.

— Bywa jednak i tak, że pan stwierdza chorobę, natomiast różdżka jej nie „wyłapuje"...

— Nie można wykluczyć i takich sytuacji. Ludzie nieomylni nie istnieją, dlaczego więc mielibyśmy przypisywać taki atrybut bioenergoterapeucie?

— Czy na podstawie waszej dotychczasowej współpracy mógłby pan podać efekty wyleczeń pod wpływem działania bioenergią?

— Mamy sporo takich przypadków. Najłatwiej je uchwycić na przykładzie schorzeń neurologicznych, bólów, obrzęków itp. Zdarzali się również pacjenci z białaczkami, u których po kilkakrotnych wizytach następowała wyraźna poprawa morfologii i rozmazu. W czerwcu trafiła do nas osoba z padaczką, przychodziła trzykrotnie. Od kilku miesięcy ataki epileptyczne nie powtórzyły się.

Zgodzi się pan jednak, że okres kilku miesięcy jest zbyt krótki, by formułować na jego podstawie daleko idące uogólnienia?

— Oczywiście, ale tylko takim okresem porównywalnym możemy się posługiwać, gdyż pracujemy wspólnie dopiero od kwietnia.

— Czy tych przypadków nie można precyzyjnie rejestrować i opisywać? Organizatorzy eksperymentów zbiorowych Stanisława Nardellego taką dokumentację prowadzą. Będzie ona przekazana Światowej Organizacji Zdrowia.

— W warunkach w jakich pracujemy, jest to na razie nierealne. Mieliście państwo okazję zobaczyć co się tu na co dzień dzieje.

Oto i mur, który przychodzi nam pokonać. Od początku zorientowaliśmy się, że dokumentacja lekarska, która pozwoliłaby uchwycić w pełnym wymiarze postępy leczenia przez bioenergoterapeutę, jest najsłabszą stroną całego przedsięwzięcia. Szansa, jaką było sformalizowanie kontaktów z chorym w ra-

mach spółdzielni lekarskiej impasu tego nie przełamała. Mając o to pretensję, z czasem zrozumieliśmy dlaczego się tak dzieje.

Bioenergoterapeutę niesie fala ludzkich oczekiwań, która napiera tak silnie, że nie starcza czasu na systematykę doświadczeń i dłuższą obserwację chorych. Jedni z nich pojawiają się jeden jedyny raz, inni przychodzą wielokrotnie, by później zniknąć jak meteory. I na dobrą sprawę nie wiadomo czy stało się tak dlatego, że „uzdrowiciel" im trwale pomógł, czy też odwrócili się od niego po stwierdzeniu bezskuteczności terapii.

„Skanalizowanie" zjawiska w ramach przyjęć w spółdzielni stwarzało okazję do jego uchwycenia w dłuższych okresach i — poza długofalową obserwację niektórych przypadków — wyprowadzenia pewnej średniej statystycznej. Niestety, jeśli nawet u zarania istniał taki zamiar ostatecznie nie powiódł się. Pod ciśnieniem oczekiwań, błagalnych próśb i żądań runęły formalno-dokumentacyjne zapory. Ludzi przyjeżdżających z daleka nie można było odsyłać do domu tylko dlatego, że nie przywieźli ze sobą zaświadczeń lekarskich, czy wyników badań. W wielu kartach zapisy stały się więc pobieżne, w innych nagle urywały się wraz ze zniknięciem pacjenta. Wystarczyło kilka tygodni, żebyśmy pojęli co znaczy t o n ą ć w ludzkim nieszczęściu. I wiedzieliśmy już, że, jeśli nie sporządzimy własnej dokumentacji na użytek reportażu, nikt nas w tym nie wyręczy. Oznaczało to podwojenie czekającej nas pracy.

Wizjer: chorzy — obszary faktów

Oświadczenie Romana D. z Warszawy (nazwisko i adres w notesie):

— W styczniu 1982 roku zachorowałem na wirusowe zapalenie wątroby typu „B". W szpitalu leżałem od 18 stycznia do 18 marca. Wypuszczono mnie praktycznie nie wyleczonego. Postępy w terapii były minimalne. Uważano, że pobyt w domu będzie pod tym względem skuteczniejszy. Niestety, prognoza ta nie sprawdziła się. Wychodząc ze szpitala miałem następujące wyniki: GOT = 175; Bilirubina 1,5; GPT = 230; Antygen obecny.

Wobec braku poprawy w stanie zdrowia 26 maja poddałem się diagnostycznej biopsji wątroby, która dała następujący wynik: GOT = 65; Bilirubina 0,8; GPT = 146; Antygen obecny... Następnie odbyłem kurację nowym lekiem produkcji szwajcarskiej. Również i ona nie dała rezultatu. Samopoczucie zaczęło się pogarszać, a bóle wątroby nasilać. Przy kolejnej kontrolnej biopsji wątroby 20 września 1982 r. (nieudanej) wyniki wyniosły: GOT = 159; Bilirubina 0,7; GPT = 151; Antygen obecny. Stwierdzono także zbyt małą ilość leukocytów (2200).

W takiej sytuacji udało mi się dostać do pana Połoneckiego. Już po jednym seansie choroba zaczęła ustępować. Wyniki: leukocyty — 3600, GOT — 87; Bilirubina 0,5; GPT — 110; Antygen obecny. Moje samopoczucie znacznie poprawiło się, odzyskałem wiarę w możliwość wyleczenia. Po drugiej wizycie wyniki wyniosły: leukocyty 3600, GOT = 90; Bil. 0,5; GPT = 98; Antygen obecny. Po trzeciej wizycie 23 października: leukocyty — 6100; GOT = 71; Bil. 0,5; GPT = 79; Antygen obecny. Po dwutygodniowej przerwie i czwartej wizycie: leukocyty — 3900; GOT = 77; Bil. 0,6; GPT = 84. Moje dobre samopoczucie, jak również widoczna poprawa wydolności organizmu, świadczą najlepiej o postępach w leczeniu. Obecnie wyniki zbliżają się do normy... Wszystko wskazuje na to, że będę całkowicie wy-

leczony z choroby, która praktycznie wyłączyła mnie z czynnego życia".

Z relacji Barbary C. z Warszawy, pracownicy służby zdrowia: (imię i nazwisko w dokumentacji reportażu):

— Od 30 lat miałam silne migreny. Tak silne, że każdego dnia musiałam zażywać po kilka proszków. To był jeden wielki świdrujący ból. Z panem Połoneckim zetknęłam się na spotkaniu w Klubie za Żelazną Bramą, które organizowała Izabela Węglarska. Po dotknięciu mojej głowy jego dłońmi, co trwało kilka minut, poczułam, że ból ustępuje. Było to dokładnie przed miesiącem. Od tego czasu głowa nie bolała mnie ani razu. O autosugestii nie może być mowy; zbyt wiele się nacierpiałam, bym miała udawać, że jestem zdrowa. Po prostu żyję wreszcie normalnie.

Z karty informacyjnej 4-letniego Artura K. z Warszawy, założonej w Spółdzielni Lekarskiej rozpoznanie: białaczka. Po dwóch wizytach u bioenergoterapeuty znaczna poprawa morfologii, zmniejszenie białych ciałek krwi o połowę.

Wizjer: reporter — ...przez boczną furtkę

RETROSPEKCJA PIERWSZA. 22 kwietnia 82 r. zostaje zawarta umowa między Zarządem Kosmetyczno-Lekarskiej Spółdzielni Pracy reprezentowanym przez jej prezesa a Pawłem Połoneckim i lekarzem medycyny Leonardem Wilkiem. Na mocy porozumienia spółdzielnia... *zleca obywatelom przeprowadzenie diagnostyki na podstawie radiestezji i działania prądami bioenergoterapeutycznymi przy różnych schorzeniach.*

— Podpisanie takiej umowy wymagało chyba od-

wagi, czyż nie tak? — pytamy mgr inż. Halinę Hoffmann, absolwentkę trzech (sic!) fakultetów: filozofii, dziennikarstwa oraz studiów w zakresie przetwórstwa rolno-spożywczego. Życiorys zawodowy, trzeba przyznać, niezwykły, ale może tu właśnie należy szukać klucza, którym udało się otworzyć dla bioenergoterapii zamknięte dotąd przed nią drzwi z napisem: Medycyna.

— No, może nie drzwi, raczej furtkę — koryguje magister Hoffmannowa — Jesteśmy tylko spółdzielnią, zarabiamy pieniądze. Chciałabym jednak podkreślić, że spółdzielnia wśród pacjentów cieszy się dobrą marką. Wynika to z listów i opinii, jakie otrzymujemy. Po prostu u nas poprzeczka usług była zawsze ustawiona wysoko, zwłaszcza w zakresie lecznictwa specjalistycznego. Odwaga... Myślę, że trzeba na to spojrzeć szerzej. To przecież nie kto inny jak właśnie my zaczęliśmy przed siedmiu laty leczenie akupunkturą, nieuznawaną wówczas przez oficjalną medycynę. Ileż wtedy było szarpania, nerwów, tłumaczenia się przed Ministerstwem Zdrowia. Dziś profesor Garnuszewski, który otworzył u nas pierwszy w kraju ośrodek akupunktury, leczy już najzupełniej legalnie. Nikt nie ma o to do niego pretensji, a akupunktura coraz bardziej się rozwija. Tyle, że wcześniej trzeba było pokonać bariery świadomości, zwłaszcza tej urzędowej.

W jaki sposób doszło do naszego kontaktu z panem Połoneckim? Zaczęło się od tego, że synowa pracownicy spółdzielni uległa zatruciu obumarłym płodem. Nim trafiła do szpitala, lekarze przypisywali jej wszystkie możliwe schorzenia, nie zbadali natomiast żywotności płodu. W rezultacie nastąpiło zatrucie organizmu i częściowy paraliż, połączony z amnezją wtórną. Zabieg w szpitalu przeprowadzono w ostatniej chwili, przy czym, jak powiedzieli le-

karze, nie gwarantował on powrotu do stanu przed operacją. Zatrucie martwym płodem pozostawiło bowiem w organizmie trwałe zmiany.

Przerażona rodzina zaczęła szukać ratunku w niekonwencjonalnych metodach leczenia. Dotarła do pana Połoneckiego. Był u chorej wielokrotnie. Już po pierwszej wizycie nastąpiło pobudzenie przemiany materii. Po następnych zabiegach bioenergoterapeutycznych organizm zaczął wracać do normy. Dziś ta kobieta czuje się zupełnie dobrze. Niedowład cofnął się, a amnezja ustępuje. Lekarze nie potrafią wytłumaczyć tego faktu.

Fakt ten uznaliśmy za dostatecznie poważny argument, by leczenie bioenergią udostępnić chorym. Zaproponowaliśmy panu Połoneckiemu pracę w spółdzielni na umowie-zleceniu. Postawiliśmy jeden warunek: by zabiegi bioenergoterapeutyczne odbywały się pod kontrolą lekarza. Ten bezpiecznik był konieczny, bo przecież wiadomo, że nie każdy organizm reaguje jednakowo na bioenergię. Mogą się zdarzyć omdlenia i inne powikłania. Obecność lekarza jest więc potrzebna.

Tak też się stało. Chcę dodać, że dotąd nie mieliśmy żadnych krytycznych uwag ze strony władz służby zdrowia, co w porównaniu z awanturą, jaka wybuchła wokół akupunktury, uważam za duży postęp. Od tej pory włączyliśmy bioenergoterapię do wachlarza świadczonych przez nas specjalistycznych usług diagnostycznych i leczniczych, wśród których są m. in. chirurgia plastyczna, ultrasonografia, rentgenologia czy kardiologia. Skoro możemy ludziom pomóc, dlaczego mielibyśmy się przed tym uchylać...?

RETROSPEKCJA DRUGA. Latem 1982 roku Paweł Połonecki otrzymuje zaproszenie z zachodnioniemieckiej firmy produkującej sprzęt elektroniczny dla celów medycznych. Celem wizyty ma być „przepro-

wadzenie badań i eksperymentów w dziedzinie bioenergoterapii i radiestezji".

O badaniach jakie przeszedł Paweł w RFN, trudno się dowiedzieć czegoś bliższego. On sam mówi na ten temat niechętnie, zasłaniając się zobowiązaniem wobec kontrahentów do utrzymania szczegółów pobytu w tajemnicy. Udało nam się jednak ustalić, że klinika, w której Połonecki został poddany eksperymentom jest jedną z placówek zajmujących się na zlecenie Światowej Organizacji Zdrowia praktycznym wykorzystaniem metod bioenergetycznych w leczeniu a także wyszukiwaniem ludzi, legitymujących się tego typu zdolnościami. Wiadomo również, że w 1983 roku Paweł Połonecki ma wyjechać do RFN ponownie, już na dłużej, przypuszczalnie rok—dwa. Zostanie wówczas poddany serii badań, w wyniku których otrzyma papiery „healera". Jest to przyjęta zwyczajowo w krajach zachodnich forma „uprawomocnienia" działalności osób leczących dotykiem dłoni.

— Bioenergoterapeuci — zauważa dr Jerzy Sosnowski z Zespołu Biocenetyki, działającego pod auspicjami Politechniki Warszawskiej — tylko u nas stanowią niezdrową sensację. W samej Wielkiej Brytanii jest ich zarejestrowanych kilkanaście tysięcy. Swoją profesję uprawiają całkiem oficjalnie.

A lekarz, Leszek Ruszkowski, specjalista w zakresie ultrasonografii, podczas krótkiej wymiany zdań w spółdzielni wypowie myśl, którą zakreślimy w notesie jako szczególnie ważną:

— Brak na obecnym etapie instrumentu badawczego i weryfikacji naukowej nie może być podstawą negowania zjawiska...

Wizjer: reporter, medycyna... obszary poznania

Spotkanie Pawła Połoneckiego z zespołem lekarzy anestezjologów w warszawskim szpitalu przy ulicy Grenadierów. Jedna z najciekawszych sekwencji w reporterskich peregrynacjach. Do spotkania doszło z inicjatywy ordynatora oddziału anestezjologicznego dr Haliny Oknińskiej, która zetknęła się z bioenergoterapeutą w Stowarzyszeniu Radiestetów.

Zespół anestezjologów kierowany przez dr Oknińską w większości tworzą ludzie młodzi. Lekarzy jest kilkunastu. Obsiedli krzesła i kozetki. Pośrodku — w fotelu — Połonecki, nieco speszony. Wygląda to trochę jak w telewizyjnych programach „Wszystko za wszystko".

Doktor Oknińska zaczyna od krótkiej prezentacji uzdrowiciela i okoliczności, w jakich się z nim zetknęła. Proponuje by sam coś o sobie powiedział. Połonecki jak zwykle w takich przypadkach, prosi o konkretne pytania. Okazuje się, że są ich dziesiątki.

— W jaki sposób doszło do odkrycia u pana tych, powiedzmy, niezwykłych zdolności?

To pytanie stanowi już rytuał. Pada zawsze i wszędzie, przy każdej okazji.

— Wszystko zaczęło się przed trzema laty... zdecydował czysty przypadek. Jadąc samochodem, zabrałem z przystanku człowieka, który okazał się radiestetą. Oczywiście o tym nie wiedziałem. Przyglądał mi się długo, a potem powiedział, że mój organizm emanuje bardzo silne biopole, które on odczuwa. Nalegał, żebym przebadał się w Stowarzyszeniu Radiestetów. Poddałem się temu badaniu. Potwierdziło diagnozę. Różdżkarze stwierdzili, że mam promień uzdrawiacza.

— Pan w to uwierzył?

— Zacząłem sobie nagle kojarzyć pewne fakty z dzieciństwa, jak na przykład to, że mama, biorąc mnie na rękę mówiła, że grzeję jak kaloryfer. Również nauczycielka ze szkoły, którą niedawno spotkałem, przyznała, że sadzała mnie w pierwszej ławce (czego bardzo nie lubiłem), bo lepiej się wtedy czuła.

W 1973 roku miałem też takie zdarzenie: znalazłem się w pobliżu miejsca wypadku. To było na skrzyżowaniu Żeromskiego i Słowackiego. Samochód potrącił tam kobietę. Z rany tryskała krew. Podłożyłem rękę pod kręgi szyjne i krew została zatamowana. Widziało to wiele osób, były zdumione. Mnie samego zaskoczyło to odkrycie.

— Czy pan choruje?

— Nie, nigdy.

— Jak długo pan sypia?

— Trzy, cztery godziny na dobę.

— I to wystarcza?

— Mój organizm nie potrzebuje więcej snu.

— Podobno chorzy podczas kontaktu z panem odczuwają ciepło, chłód lub mrowienie. Co to znaczy?

— Każdy organizm reaguje inaczej, nie ma tu jakiejś stałej reguły. Chore miejsce dotknięte przeze mnie — nagrzewa się, stąd uczucie ciepła. Natomiast chłód może oznaczać znieczulenie.

— A co pan odczuwa podczas dotyku?

— Szczypanie w palcach, czasem również „czuję" chore miejsce u człowieka, którego dotykam. „Odzywa się" wtedy u mnie analogiczny organ.

— Czy pan zna anatomię człowieka?

— Dopiero się jej uczę.

— Trochę późno...

— Pomagają mi w tym lekarze.

— Proszę pana, powiedział pan parokrotnie, że

w organizmie chorego, na którego pan oddziaływuje, „coś się dzieje". To znaczy co się dzieje?

— Tego nie wiem... mogę mówić tylko o efektach.

— Czy, oddziaływując na chorego, musi się pan przedtem skoncentrować?

— Nie, w zasadzie nie.

— Słyszeliśmy, że inni się koncentrują, na przykład Nardelli.

— Każdy bioenergoterapeuta ma swoje sposoby. Stasio ma swoje, a ja mam swoje.

— Czy pan po takich zabiegach czuje się zmęczony?

— Tak, oczywiście, to jest przecież oddawanie przez organizm energii.

— W takim razie w jaki sposób pan się regeneruje?

— Wystarczy żebym trochę odpoczął, niekoniecznie zresztą w sensie dosłowanym. Mogę na przykład prowadzić samochód, to mnie odpręża.

— Jakie schorzenia pan leczy?

— Bardzo różne. Od nerwic poprzez schorzenia układu pokarmowego aż po nowotwory.

— Nowotwory? W jaki sposób pan stwierdza efekty?

— Opieram się na relacjach pacjentów.

— Aha, relacjach. A czy widział pan kliszę rentgenowską pacjenta chorego na nowotwór przed i po zabiegach bioenergoterapeutycznych?

— Były i takie przypadki.

— Ale oczywiście nie dysponuje pan tymi kliszami?

— Nie.

— Interesuje mnie, czy udało się panu pomóc pacjentowi po reanimacji?

Uzdrawiacz zastanawia się, nim jednak zdąży odpowiedzieć, sypią się już następne pytania.

— Skąd pan wie, kiedy trzeba na chorego oddziaływać raz, a kiedy wielokrotnie?

— To podpowiada intuicja bioenergoterapeuty.

— Czy sprawdzano pana rodzinę? Był w niej ktoś o podobnych zdolnościach?

— Nie. Natomiast mój dziadek był różdżkarzem.

— Jeździ pan podobno często do chorych leżących w szpitalach ...czy za wiedzą lekarzy?

— Taka jest zasada. Musi być zgoda lekarza prowadzącego chorego.

— I co, zgadzają się?

— Tak, prawie zawsze. Powiem więcej: zdarza się, że kiedy działam na chorego, przychodzi ordynator, mówi: „No, wystarczy już tych czarów-marów". Wychodzę, a potem znajduję w kieszeni fartucha kartkę włożoną mi przez lekarza: „Panie Pawle, czy mógłby pan przyjechać do mojej żony?"

Ogólny śmiech.

— Ilu ludzi pan już uzdrowił?

Korekta z boku:

— Ilu ludziom pan pomógł?

Chwila namysłu.

— Nie liczyłem, ale myślę, że jakieś pięć tysięcy przypadków by się zebrało.

— A ilu pan nie pomógł?

— ...

— Jakie przypadki najmniej panu leżą?

— Stwardnienie rozsiane, poza tym ciężkie są nowotwory i Bürger. Bywają również kłopoty z chorymi w starszym wieku, oni słabiej odbierają tę energię.

— A dzieci?

— Wydaje mi się, że z dziećmi mam dobry kontakt.

— Jak pan wpływa na kobiety w ciąży?

Uzdrowiciel nieoczekiwanie miesza się:

— Nie lubię oddziaływać.

— Powiedział pan coś takiego, że niechętnie bierze pan pacjentów po operacji — dlaczego?

— Ja tego nie potrafię wytłumaczyć, to jest znowu sprawa intuicyjna... Chirurgiczne „otwarcie" ciała oznacza utratę przez nie pewnej wewnętrznej energii, jej rozproszenie, zakłócenie... nie wiem, nie wiem.

— A co to było, panie Pawle, z tym rozszerzeniem źrenic podczas eksperymentu? — doktor Oknińska.

— Faktycznie, można zaobserwować, że źrenice chorych, na których oddziaływuję rozszerzają się. Dotyczy to również osób znajdujących się w pobliżu.

— Pan miał, zdaje się, jakieś perypetie z magnesem czy tak?

Połonecki śmieje się.

— Tak, to było coś jakby zwarcie.

— Ci trzej pacjenci, do których pan jeździ, do jednego z warszawskich szpitali... Co to za schorzenia?

— Same raczki — odpowiada Połonecki i widząc konsternację wśród obecnych, natychmiast poważnieje. — Proszę mi wybaczyć, ale to jest z mojej strony odreagowywanie, inaczej bym tego nie wytrzymał psychicznie.

— Czy pan się denerwuje?

— Nie, nigdy.

— Nigdy?

— Nigdy.

— Ja bym jednak spróbowała — propozycja pół żartem, pół serio jednej z lekarek.

Doktor Halina Koleśnik, młoda, sympatyczna, sceptyczna:

— Czy nie uważa pan, że powinniście prowadzić ścisłą dokumentację tego co robicie? To przecież by

podbudowało waszą wiarygodność i przekonało oficjalną medycyną.

Połonecki: — Ja też widzę taką potrzebę. Na razie nie składało się.

— Czy poddałby się pan opiece kliniki, która rejestrowałaby i prowadziła pana pacjentów?

— Nikt mi dotąd tego nie zaproponował, ale oczywiście chętnie bym się zgodził.

Mija trzecia godzina rozmowy. Niektórzy lekarze zerkają na zegarki; pora iść do chorych. Pozostała jednak najciekawsza część spotkania: praktyczna demonstracja przez Pawła jego umiejętności. To wyjątkowo ciężka próba; lekarza nie da się oszukać.

Najpierw, jak zwykle, stawianie przy pomocy różdżki diagnozy. Chętnych jest wielu. U pierwszej z lekarek bioenergoterapeuta wykrywa zwyrodnienie kręgów szyjnych, nie podoba mu się też woreczek żółciowy. Poza tym stwierdza nieprawidłowe krążenie w nogach.

— Zgadza się? — pytam zainteresowaną.

— Wszystko z wyjątkiem woreczka. W tym przypadku to wycięty wyrostek, no, ale to bardzo blisko, więc tak czy inaczej chore miejsce wykrył — odpowiada zaskoczona lekarka.

Kolejne diagnozy — z jednym bodaj wyjątkiem — również okazują się trafne. Wśród lekarzy poruszenie. Teraz zaczyna się właściwy eksperyment połączony z dotykiem.

— Co pani czuje?

— Ciepło, bardzo ciepło...

— E tam, ciepło — żartuje uzdrawiacz — kaloryfer pewnie grzeje.

Już jest luz, atmosfera odprężenia. Wszyscy chcą przynajmniej przez chwilę poczuć dotyk dłoni gościa, dla wielu z nich jest to pierwszy kontakt ze zjawiskiem bioenergii. Przy próbie oddziaływania me-

smerycznego, polegającego na prowadzeniu rąk nad głową, a następnie wzdłuż ciała w pewnej od niego odległości, jedna z lekarek nie wytrzymuje.

Czuje się słabo, musi usiąść. Inne osoby rejestrują przemieszczające się ciepło lub mrowienie.

Żerkam niespokojnie na Grażynę N. Grażyna N. jest sympatią uzdrowiciela i od pewnego czasu jeździ z nim do chorych, zwłaszcza gdy dzieje się to kosztem ich wspólnego czasu. Okazało się jednak, że jej organizm reaguje na bioenergię bardzo gwałtownie. Podczas seansu z chorą w Busku, Grażyna N., mimo, że nie weszła do separatki, pozostając cały czas za szybą, nagle omdlała. Nim uzdrawiacz z lekarzem znaleźli się przy niej, już leżała na ziemi. Badanie niczego nie wykryło, a uczucie słabości po pewnym czasie minęło. Sytuacja powtórzyło się tegó samego dnia w Białobrzegach, gdzie odwiedzili innego pacjenta. Tym razem wszyscy znajdowali się w jednym pokoju. Podczas, gdy Połonecki dotykał pleców chorego, dziewczyna siedziała w pobliżu, pijąc herbatę. Nagle szklanka wypadła jej z rąk, a ona sama runęła z krzesła. Znów było zamieszanie i powolne dochodzenie do siebie. W tej sytuacji obecność Grażyny N. na spotkaniu z lekarzami anestezjologami nie jest przypadkowa. Dr Oknińska, która dowiedziała się o tych zdarzeniach, poprosiła uzdrawiacza, by przyjechał razem z partnerką. Miała w tym swój cel....

Spojrzałem na Grażynę N. w samą porę. Właśnie osuwała się na kozetkę. Mogłem teraz podziwiać sprawność lekarzy, którzy — kochani wybaczcie mi, to naprawdę nie złośliwość, a jedynie reporterski obowiązek plastycznego przekazania sytuacji — tylko na to czekali. Natychmiast znaleźli się przy dziewczynie z ciśnieniomierzem, który trzymali w pogotowiu oraz innymi akcesoriami („Spodziewa-

liśmy się, że coś takiego może nastąpić" — przyzna otwarcie dr Oknińska). Badanie stwierdziło podwyższone ciśnienie oraz przyspieszone tętno, nic poza tym. Grażyna pod opieką lekarza znalazła się w drugim pokoju.

Doktor Krzysztof Węgorzewski rozważa głośno czy i jak bioenergoterapię można wykorzystać skutecznie przy reanimacji. Tymczasem uzdrawiacz zaczyna się śpieszyć. Jest umówiony z chorymi; ma godzinę spóźnienia.

Na końcu seans zbiorczy. Zgodnie z zaleceniem stajemy z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Połonecki unosi dłonie i powoli je opuszcza. Przez mgnienie czuję się jak gdyby poprzez czubki włosów przebiegł mi prąd. Jest to zaledwie muśnięcie, ale wyraźnie odczuwalne...

Wizjer: nauka... badać zbiór faktów tworzących dar uzdrawiania

Profesor Jerzy Chołodziński z Warszawy — wypowiedź specjalnie dla „Ekspresu Reporterów" zanotowana w Opolu 25 listopada podczas „Eksperymentu 5 tysięcy":

— Bioenergoterapia nie jest niczym nowym. Nie jest też zjawiskim nadprzyrodzonym. O ludziach leczących dotykiem ręki mówią przekazy historyczne. Tak było już w starożytności, wiemy również o uzdrawianiu ludzi przez monarchów we Francji, Anglii czy na Węgrzech.

Na podstawie dotychczasowych obserwacji i doświadczeń możemy mówić o zbiorze faktów tworzących dar uzdrawiania. Są to zjawiska, których negować niepodobna, a bioenergote-

rapia musi zostać włączona w system medycyny ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami.

Feliks Haczewski; inżynier architekt, radiesteta; współtwórca — wspólnie z profesorem Lechem Radwanowskim — ekranów HR zabezpieczających przed promieniowaniem wodnym:

— Coraz silniej toruje sobie drogę hipoteza, że procesy chemiczne zachodzące wewnątrz organizmu, są tylko „odzewem" na reakcje elektryczne. Właśnie dlatego bioenergetyk może wykryć wcześniej chorobę niż lekarz posługujący się metodami konwencjonalnymi. Bo, choć jeszcze nie nastąpiła reakcja chemiczna w organizmie, doszło już do zakłócenia pola bioelektrycznego. Uważam, że przyszłość bioenergoterapii, podobnie jak całej psychotroniki, należy do ludzi młodych.

Wizjer: medycyna — obszary niechęci

Telefon do Instytutu Onkologii w Warszawie. Nazwisko rozmówcy zapisane na kartce.

— Kto mówi? Aha. No i o co pani chodzi?

— ...

— Tak, tak, rozumiem... bioenergoterapia. Czy może pani jeszcze raz powtórzyć, skąd pani dzwoni? Dobrze. A więc, droga pani, po pierwsze nie życzę sobie, żeby pani ujawniała moje nazwisko, bo mi to do niczego nie jest potrzebne. Po drugie na rozmowy o bioenergoterapii nie mam czasu ani ochoty, gdyż uważam to wszystko za kompletną bzdurę. K o m p l e t n ą, czy pani zanotowała? Tak? To dobrze. Co jeszcze chce pani wiedzieć? Skąd czerpię wiedzę na ten temat? A, tu już pani jest złośliwa. Niemniej odpowiem: nigdy w życiu nie spotkałem się z przypadkiem, by „uzdrowiciel", czy jak wy go tam nazywa-

cie, pomógł komuś z naszych pacjentów. A mieliśmy wielu takich, których rodziny woziły do Harrisa. I co? Wracali do nas, jeśli w ogóle zdążyli...

Wszystkie te historie uważam za szarlatanerię w czystej postaci. Słucham? Te przypadki, o których pani mówi, to są sukcesy pozorne. Medycyna zna od dawna zjawisko samoistnego wyleczenia. Powiem więcej, w ten sposób leczy się 30 procent schorzeń. Bardzo często też, jakkolwiek dopiero po pewnym czasie, rozpoczyna się działanie farmakoterapii oraz innych metod. Taki znachor dobrze wie o tym i przypisuje sobie ewentualne efekty, żerując na ludzkiej niewiedzy. Tymczasem rzecz polega na tym, że on po prostu co jakiś czas trafia właśnie na człowieka, którego organizm samoistnie powraca do zdrowia.

Efekty fizyczne... ciepło, mrowienie? Pani ma wyższe wykształcenie? Aha. I pani w to wszystko wierzy? No, tak, gdyby powiedziała mi pani to na początku, nasza rozmowa byłaby niepotrzebna. Pani jest nawiedzona, jak cała ta plejada pseudonaukowców. Słucham? I cóż z tego, że profesor Aleksandrowicz? Czy pani sądzi, że ja przed Aleksandrowiczem padnę na kolana? Będę się modlił do tej jego książki? Czy nie uważa pani za śmieszne tego, co on tam proponuje: jakieś leczenie solą? Upraszczam, ja upraszczam? No cóż, odnoszę wrażenie, że nasza konwersacja rzeczywiście mija się z celem. Poruszamy się, niestety, na różnych poziomach wiedzy i świadomości. Żegnam.

Trzask odkładanej słuchawki, rozmowa skończona.

Wizjer: reporter... śmierć po raz trzeci

Tamta noc... Ósmego listopada około północy w naszym domu odzywa się telefon. Dzwoni z dy-

żuru doktor Węgorzewski, pyta w jaki sposób mógłby skontaktować się z Połoneckim. Odpowiadamy, że jest to praktycznie niemożliwe, gdyż Połonecki nie ma w domu telefonu. Można spróbować dopiero rano — do pracy.

— Rano — mówi doktor Węgorzewski — może być za późno. Mam człowieka z wylewem krwi do mózgu. Albo-albo.

Wiemy oboje, jak bardzo uzdrawiacz strzeże integralności swojego życia prywatnego, jak szczelnie zabezpieczył je przed wdzieraniem się w nie nagłych interwencji, próśb i żądań. Niektórzy uważają, że bioenergoterapeuta nie ma do tego prawa, że z chwilą, gdy zdecydował się na swoją działalność stał się własnością publiczną. Nie zgadzaliśmy się od początku z tym punktem widzenia. Uważaliśmy — i uważamy nadal — że każdy, również „uzdrowiciel" ma prawo do własnego życia, zresztą, z czasem coraz bardziej zawężającego się. Więc niby wszystko to wiemy, ale, gdy przychodzi taka chwila, jak ta, staramy się zapomnieć. Bo życie jest jedno. Tylko jedno.

Decydujemy się na telefon do Anny B. koleżanki Połoneckiego, która mieszka blisko niego. Anna B. nie ma pretensji, że ją obudziliśmy. Wygląda przez okno, ale wozu uzdrawiacza nie widzi. Mówi: „To było do przewidzenia, on bardzo często wraca do domu nocą". Przekazujemy numer telefonu do szpitala na Grenadierów. Jeśli Połonecki odezwie się, przyślę po niego karetkę.

Po piętnastu minutach dzwonek. Zgłasza się. Rozmawiał już z lekarzem, czeka na karetkę.

Jedziemy i my.

Noc w szpitalu. Temat sam w sobie. Śpiący kierowcy, którzy wykłócają się z lekarzem o to, który z nich ma jechać, trwożna bezsenność chorych, ka-

raluchy spacerujące gromadnie po ciemnych korytarzach, w których nasze kroki odbijają się głuchym zwielokrotnionym echem.

W jednej z sal pacjent, do którego przyjechaliśmy. Doktor Węgorzewski krótko relacjonuje: chory cierpiał na nadciśnienie. Po południu dźwignął kanister z benzyną. Upadł, stracił przytomność. Pękło jedno z naczyń, tak pechowo, że w wyniku wylewu krwi został uszkodzony pień mózgowy. Z powodu niezdolności do samodzielnego oddychania, podłączono mu sztuczny oddech.

Twarz starszego mężczyzny spoczywającego na łóżku zapadnięta, szara. Przez rurkę intubacyjną tłoczona jest cały czas mieszanina powietrza i tlenu. Pracuje nawilżacz gazów wdechowych, podłączono respirator ciśnieniowozmienny. Tuż obok najbliżsi: córka i zięć. Oboje lekarze.

Teraz Połonecki.

Chorzy na sąsiednich łóżkach drzemią. Niektórzy zasłaniają oczy przed światłem, przewracają się na drugi bok. Ktoś kona — oni chcą spać. Twarde prawo życia i śmierci.

Uzdrawiacz pochyla się nad chorym. Jego dłonie zatrzymują się nad jego głową, wędrują w okolice piersi. Pacjent jakby „ciągnie" energię. To dobrze, to znaczy że organizm jeszcze się broni. Swoje czynności bioenergoterapeuta ponawia wielokrotnie. Przez blisko pół godziny obserwujemy je w milczeniu.

— Co pan sądzi? — pyta doktor Węgorzewski, gdy wychodzimy z sali. Uzdrawiacz kręci głową, mówi, że chyba jednak nic z tego nie będzie. Potem zerka na zegarek, jest wpół do drugiej.

— Przyjadę tu jeszcze raz o siódmej rano — decyduje z własnej inicjatywy.

Po drodze dochodzi do nieoczekiwanego zdarzenia. Na jednym z łóżek, gęsto rozstawionych w korytarzu, kaszle starsza kobieta. Kaszel jest typowo astmatyczny: długi, głośny, duszący.

— Jeszcze pobudzi innych — troszczy się Połonecki. Podchodzi do chorej i przykłada jej ręce z obu stron na wysokości oskrzeli. Kaszel słabnie, po chwili ustaje. Zaskoczona niewiasta usiłuje zrozumieć co się stało, mówi coś o cieple, które czuła, ale my już nie słuchamy. Śpieszymy się.

Dziewiętnasty listopada — między siódmą a ósmą rano. Stan chorego bez zmian, ale uzdrawiaczowi wydaje się, że jego organizm „słabiej ciągnie". Poza tym spada stale temperatura. Aktualnie zeszła poniżej 34 stopni i na termometrze zaczyna brakować skali. To zły znak.

Przez następne dni sytuacja się nie zmienia. Nad chorym cały czas czuwają członkowie rodziny i lekarze. Ale życie uchodzi z każdą chwilą. Pacjent umrze w sobotę, szóstego dnia od chwili przywiezienia go do szpitala. Doktor Węgorzewski mówi: „Tak jest zazwyczaj. Gdybyśmy chorego nie bilansowali elektrolitowo, zgon nastąpiłby prawdopodobnie wcześniej. Jak dotąd medycyna w przypadku uszkodzenia pnia mózgowego jest w zasadzie bezradna".

A po chwili:

— Nie chciałbym jednak, żebyście potraktowali moje słowa jako argument przeciwko bioenergoterapii. To był praktycznie beznadziejny przypadek; nie oczekiwałem żadnych cudów. Po prostu wychodziłem z założenia, że, jeśli jest jakaś szansa, o której jeszcze nie wiemy — trzeba spróbować. Trudno, nie udało się.

25 listopada, po siedemnastej. W pomieszczeniu na zapleczu hali widowiskowej w Opolu spoczywa w fotelu Stanisław Nardelli. Ma zapadnięte oczy, przyśpieszone tętno i ciśnienie. Obok pielęgniarka z przygotowanym zastrzykiem dożylnym, lekarze bioenergetycy, biolodzy. Na sali poruszenie. Przed chwilą skończył się największy w dziejach polskiej bioenergoterapii eksperyment. Miało w nim wziąć udział 5 tysięcy osób; ostatecznie było ich blisko 7 tysięcy. 7 tysięcy wyselekcjonowanych spośród 46 tysięcy...

Rozmowa z doktorem medycyny Zbigniewem Drząszczem z Gliwic. Specjalność: naurologia; stały obserwator naukowy eksperymentów z udziałem Stanisława Nardellego. Wypowiedź dla „Ekspresu Reporterów":

— Uznając, że każda istota żywa posiada biopole, musimy przyjąć również do wiadomości, że może ona emanować energię, w skład której wchodzi prawdopodobnie kilkanaście rodzajów promieniowania. W laboratoriach świata prowadzi się nad nimi intensywne badania. My, niestety, znajdujemy się pod tym względem ciągle w powijakach.

Bioenergoterapia stanowi niezaprzeczalny fakt. Niestety, oficjalna medycyna lekceważy to zjawisko. Zresztą świat medycyny zawsze wykazywał małą otwartość na nowe metody terapii. A przecież chodzi przede wszystkim o jak największą skuteczność leczenia. Jeśli z seansu z Nardellim ludzie wychodzą ze znacznie lepszym samopoczuciem, to już jest bardzo wiele, choć oczywiście cała rzecz nie tylko do tego się sprowadza. My zbieramy dokumentację, gromadzimy relacje chorych o ich stanie zdrowia przed i po eksperymencie. Uogólniając płynące stąd wnio-

ski można na przykład powiedzieć, że w opisach powtarzają się często takie stwierdzenia jak: poprawa ogólnego samopoczucia, zmniejszenie obrzęków, napięcia mięśniowego, ustępowanie bóli (często są to przewlekłe bóle głowy) artretyzmu, chorób reumatycznych. Wydaje się, że w tych właśnie obszarach działanie bioenergią jest najskuteczniejsze.

Postawa świata lekarskiego wobec bioenergoterapii jest nieszczera. Mamy liczne przykłady oficjalnego dystansowania się lekarzy od tego zjawiska, podczas, gdy oni sami lub ich najbliżsi korzystają prywatnie z pomocy bioenergoterapeuty. To nie jest fair. Jeśli ma się odwagę powiedzieć „a" trzeba umieć powiedzieć „b".

Bioenergetyka i związana z nią terapia wykracza poza sferę medycyny. Jest to również złożone zjawisko psychologiczno-socjologiczne. Nie da się uniknąć pytania, dlaczego tak wiele osób uczestniczy w eksperymentach bioenergoterapeutycznych? Czy to wynika z zawodu, jaki sprawia oficjalna medycyna czy też z braku ciepła i intymności, którą współczesna medycyna nam zabrała? I czy rzeczywiście można wszystko to traktować jedynie jako odwrót od racjonalizmu? To byłoby zbyt proste wytłumaczenie.

Zjawisko bioenergoterapii powinniśmy traktować z fascynacją, ale i bez mitów. Musimy sobie także zdawać sprawę z przeszkód i trudności, pojawiających się w procesie jego analizy. Materiałem poznawczym, na którym dotychczas się opieramy, są głównie subiektywne odczucia chorych, ich relacje. Z biologicznego punktu widzenia nie potrafimy jeszcze bioenergoterapii w pełni wytłumaczyć, nie rozumiemy jej istoty. Być może przyczyny tego impasu tkwią w nas samych, w ograniczeniu pojęć jakie

sobie narzuciliśmy i którymi się na co dzień posługujemy? Uważam na przykład, że w medycynie należałoby dokonać zasadniczego zwrotu poprzez sformułowanie innej definicji choroby. My po prostu powinniśmy zająć się najpierw zdrowiem, a dopiero potem chorobą. Mówiąc innymi słowy: twórzmy warunki, by człowiek był zdrowy, zamiast brać go pod mikroskop dopiero wówczas, gdy choroba już atakuje, czyni spustoszenie w organizmie. Zresztą w gruncie rzeczy to nic nowego. Takie właśnie podejście do zagadnienia prezentuje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). I może to kogoś zdziwi, ale WHO nie tylko nie odrzuca metod paramedycznych, całego kompleksu medycyny naturalnej, lecz wręcz przeciwnie: uważnie go bada, analizuje, tam zaś, gdzie uznaje to za celowe i potrzebne, zaleca stosowanie metod paramedycznych w procesie terapii. Na zlecenie WHO kliniki w różnych krajach zajmują się np. „wyławianiem" ludzi dysponujących zdolnościami bioenergetycznymi. Mało tego; WHO interesuje się również czarownikami i szamanami działającymi w Afryce. Okazuje się bowiem, że często osiągają oni lepsze efekty terapeutyczne niż przedstawiciele medycyny oficjalnej. To się oczywiście wiąże z funkcjonowaniem medycyny w określonym kręgu kulturowym, ale właśnie dlatego stanowisko Światowej Organizacji Zdrowia jest takie, że praktyk tych nie można z góry przekreślać. Trzeba je natomiast badać i umieć wyciągać z nich odpowiednie wnioski. Także w sferze medycyny tradycyjnej.

Wrócę jeszcze raz do najważniejszej myśli, jaką chciałbym przekazać. Jeśli zmienimy nasze generalne podejście i za punkt wyjścia uznamy nie chorobę, a zdrowie człowieka, będzie to oznaczało konieczność zajęcia się wszystkim, co zdrowiu pomaga. Tu

właśnie widzę szczególnie wielkie możliwości dla paramedycyny ze wszystkimi jej fascynującymi fenomenami.

Lekarz med. Kazimierz Orski z Opola, (specjalność ginekologia-położnictwo) jeden z obserwatorów „Eksperymentu 5 tysięcy". Wypowiedź dla „Expresu Reporterów":

— Bioenergoterapię trzeba uznać za jedną z metod leczenia. Powinna ona stać się stałym elementem współczesnej medycyny. Jej skuteczność przy niektórych schorzeniach, zwłaszcza neurologicznych, często o niewiadomej etiologii jest — na podstawie dotychczasowych obserwacji i doświadczeń — nie kwestionowana. To prawda, że mamy do czynienia z określonym nastawieniem emocjonalnym pacjenta, zaangażowaniem jego sfery psychicznej, swego rodzaju autosugestią. Ale przecież te czynniki są ważne w każdej metodzie leczenia, a nie tylko w przypadku bioenergoterapii! Podam przykład z własnego podwórka. Jeśli lekarz-położnik podczas porodu znajduje się przy kobiecie, okazuje jej ciepło i serdeczność, dodaje otuchy, poród jest wówczas znacznie lżejszy. Niestety, współczesna medycyna pozbawiła intymności kontakty między chorym a lekarzem. Mimo coraz doskonalszych metod leczenia liczba zachorowań nie zmniejsza się a przeciętna długość ludzkiego życia nie wzrasta. Stanowi to miernik niepowodzeń oficjalnej medycyny, uzbrojonej w najnowocześniejsze środki farmakologiczne i techniczne.

Oczywiście za pomocą oddziaływania bioenergetycznego nie da się cofnąć nieodwracalnych zmian w organizmie. Ale nawet tego typu chorym udaje się pomóc. Ludziom cierpiącym na zmiany starcze bioenergoterapeuta może np. „odblokować" całą tę

sferę schorzenia, która bazuje na tle nerwowym. Jest w stanie zlikwidować lub zredukować ból, stworzyć pewien komfort psychiczny. Czy to mało? Moim zdaniem wystarczająco dużo, by bioenergoterapii przyznać pełne prawo bytu w medycynie.

Wizjer: Nauka... fale wyższego rzędu

Rozmowa z doktorem Jerzym Sosnowskim z Zespołu Biocenotyki, kierowanego przez profesora dr. Lecha Radwanowskiego i działającego pod auspicjami Politechniki Warszawskiej. Wypowiedź specjalnie dla „Ekspresu Reporterów":

— Bioenergia, a w związku z tym i bioenergoterapia, to kompleks złożonych problemów nie tylko fizycznych, biologicznych i medycznych, lecz także — i na to chciałbym zwrócić uwagę szczególną — etycznych. Powiedziałbym wręcz, że pod niektórymi względami ładunek problemów etycznych w bioenergoterapii jest tak wielki, iż praktycznie przesłania medyczny aspekt zagadnienia. Przecież to jest nierzadko działanie na granicy życia i śmierci. Dlatego bioenergoterapia ma tak wiele punktów odniesienia, z filozoficznym włącznie. Oznacza też ogromne przeobrażenia w życiu człowieka, który odkrywa w sobie zdolność do emanowania bioenergii. Jest on wystawiony na bardzo liczne pokusy a ciśnienie ludzkich nadziei i oczekiwań powoduje, że trzeba mieć w sobie wiele siły, by udźwignąć ciężar pojawiających się tu dylematów. Bo te dylematy będą na każdym kroku. Pierwszy z brzegu: kogo w sytuacji ograniczonych możliwości fizycznych bioenergoterapeuty ratować, a kogo poświęcić? Czy, zdając sobie sprawę z nieuleczalnej choroby, zaofiarować pacjentowi komfort śmierci wyzbytej bólu

kosztem innych, którym można w tym samym czasie — dzięki tej samej energii — przynieść ulgę? A może wybrać jeszcze inny wariant?

W Polsce umiera rocznie 360 tysięcy ludzi. Co najmniej kilka milionów jest poważnie chorych. Wszyscy oni oczekują udzielenia im skutecznej pomocy nie tylko przez medycynę oficjalną, lecz również naturalną, w tym bioenergoterapeutów. Jest zatem wielką odpowiedzialnością dokonywanie takich wyborów, które dadzą się uzasadnić na gruncie medycyny i etyki.

Nie bez powodu tak wiele uwagi poświęcam obciążeniom psychicznym bioenergoterapeuty... Przecież na dobrą sprawę nie wiemy na co oddziaływa bioenergia. Czy uruchamia jakieś centra wewnątrz mózgu, czy w procesie przetwarzania informacji zostaje wyzwolona większa liczba neuronów, która może stać się nawet impulsem do odtworzenia jakiejś zniszczonej struktury organizmu...?

Ciągle jeszcze poruszamy się w polu mało znanym. Można na przykład zaryzykować twierdzenie, że bioenergia emanowana przez poszczególnych ludzi, obdarzonych takimi zdolnościami, jest tylko pozornie do siebie podobna. W rzeczywistości to są zupełnie różne bioenergie. W przeciągu kilkunastu lat, podczas których interesowałem się tym zjawiskiem, miałem kontakt ze wszystkimi liczącymi się bioenergoterapeutami w Polsce. Muszę powiedzieć, że oni są na ogół otwarci i chętnie dzielą się swoimi wątpliwościami, rozterkami moralnymi... Czy wierzą w to co robią? Oczywiście. Powiem więcej: tej wiary nie wolno w jakikolwiek sposób zakłócić. Bo ona stanowi warunek *sine qua non* skuteczności ich działania.

Zjawiska bioenergetyczne okazują się bardzo trudne w opisie i weryfikacji. Jeśli próbujemy je

np. uchwycić na poziomie submolekularnym, to należałoby powiedzieć, że w stosunku do organizmu żywego brak nam wielu metod badawczych pozwalających je sklasyfikować. Wpływa na to niedoskonałość aparatury pomiarowej i technik analitycznych. Nie spełnia również pokładanych nadziei próba tworzenia modeli fizycznych czy matematycznych, które dawałyby szansę stosowania przybliżeń. Bo język matematyki, nawet z uzwględnieniem problemów stosowalności, okazuje się w tej dziedzinie niezbyt przydatny. To są zjawiska silnie nieliniowe, zmienne w czasie, wieloparametryczne... Stworzenie jakiegoś ogólnego modelu matematycznego, który pozwoliłby opisać procesy zachodzące wewnątrz organizmu jest więc niemożliwe. Zresztą, nawet jeśli poradzilibyśmy sobie z obszarem fizjologii, i tak otwarte pozostawałoby pytanie o mechanizmy typu psychicznego. Jak wyjaśnić na przykład odbieranie barw, istnienie uczuć, innych cech psychicznych? Biocybernetyka nie udziela na to odpowiedzi.

W rezultacie podstawowym materiałem dla badacza są subiektywne opisy i relacje ludzi, którzy posiadają zdolność wytwarzania biopola większego niż standardowe. Jednak i to nie rozwiązuje do końca sprawy, bo inaczej opisze dane zjawisko lekarz, inaczej filozof, inaczej elektronik czy matematyk, a jeszcze inaczej psycholog.

Ludzie wiążą z bioenergią ogromne nadzieje. To się rzuca w oczy zarówno podczas eksperymentów zbiorczych Stanisława Nardellego jak i w przypadku Jana Putkowskiego czy Pawła Połoneckiego. Wszyscy chorzy oczekują od nauki potwierdzenia wiarygodności lub nadziei, choćby powierzchownego. Zresztą również sami bioenergoterapeuci o to zabiegają. Domagają się żeby wszystko co robią, zostało

zbadane, udokumentowane, żeby bezpowrotnie nie zginęło. Już choćby z tego powodu nauka nie może trzymać się z boku. Wynika to nie tylko z imperatywu poznania, lecz również nakazów etyki.

Wizjer: medycyna... nie tylko szkiełko i oko

Rozmowa z lekarzem medycyny Leszkiem Ruszkowskim, asystentem I Kliniki Akademii Medycznej w Warszawie. Doktor Ruszkowski jako pierwszy przeprowadził z Pawłem Położeckim serię eksperymentów diagnostycznych w Klinice Położnictwa i Ginekologii Akademii Medycznej w Warszawie.

— Czy mógłby pan w największym skrócie powiedzieć na czym polegały eksperymenty przeprowadzone w naszej klinice?

— Aby uniknąć nieporozumień, chciałbym od razu zaznaczyć, że eksperymenty te nie miały charakteru naukowego. Po prostu wraz z kolegami-lekarzami podjęliśmy próbę uchwycenia zjawiska w sferze zdolności diagnostycznych. Wiedzieliśmy, że Paweł Położecki stawia diagnozy przy pomocy różdżki, dotyku ręki a także zewnętrznych oględzin chorego. Wybraliśmy więc przede wszystkim takie przypadki, które można sprawdzić na ekranie monitora. Polegało to na tym, że Paweł wynajdywał u kobiet w ciąży miejsca najlepszej słyszalności tętna płodu, a my przykładaliśmy we wskazanym przez niego punkcie głowicę aparatu i sprawdzaliśmy trafność diagnozy na monitorze. Mogę powiedzieć, że w tym przypadku była ona stuprocentowa. W mniejszym stopniu eksperyment powiódł się, jeśli chodzi o określenie ciąży mnogiej, czyli stwierdzenie czy matka urodzi więcej niż jedno dziecko. Myślę jed-

nak, że jest to związane z niedostateczną znajomością przez Pawła anatomii człowieka.

To było dla niego pierwsze tego typu rozpoznanie i wydaje się, że po prostu nie wiedział jak zintegrować odebrane przez siebie informacje. Sądzę, że po zapamiętaniu charakterystycznych cech ciąży mnogiej, będzie w stanie w przyszłości rozpoznawać ją równie precyzyjnie jak inne przypadki.

Mieliśmy także na oddziale pacjentkę, która nie była w ciąży. Poprosiliśmy o zdiagnozowanie jej. Paweł znalazł różdżką torbiel na lewym jajniku, co potwierdził później obraz ultrasonograficzny.

Następne eksperymenty dotyczyły już osób ciężej chorych. W grę wchodziły guzy w jamie brzusznej, na macicy, jajnikach itp. Mówiąc najogólniej były to ewidentne zmiany anatomorfologiczne w organizmie człowieka. Tu również okazało się, że zdolności diagnostyczne Pawła Połoneckiego są nie do zakwestionowania.

— Jaki stąd wniosek?

— Taki, że współpraca bioenergoterapeuty z lekarzem rokuje duże nadzieje. Bioenergoterapeuta może być nieocenionym partnerem we wczesnym wykryciu choroby, natomiast lekarz powinien pomóc mu w medycznym określeniu wykrytego stanu chorobowego.

— Gdybyśmy mieli obecnie wyznaczyć punkt wyjścia dla ostrożnych, niemniej w miarę pewnych wniosków w sferze bioenergoterapii, gdzie by pan widział punkt, poza który nie warto się już cofać w dyskusjach nad realnością i istotą tego zjawiska?

— Myślę, że przede wszystkim powinniśmy jak najszybciej znaleźć miejsce dla bioenergoterapii w całym systemie medycyny, abstrahując od tego, że jej mechanizm, podobnie jak akupunktura, nie jest jeszcze do końca znany. O takim stanowisku

powinny decydować dwa podstawowe fakty: cierpiący człowiek i zdolność przynoszenia mu przez bioenergoterapeutę ulgi, nie mówiąc już o konkretnych efektach leczenia, bo i takie są. To jest, moim zdaniem, argument wystarczający, by uznać bioenergię za sojusznika tradycyjnej medycyny. Jeżeli współpracujemy z fizykoterapeutą, dlaczego odrzucać bioenergoterapię? Natomiast nieznalezienie takiego miejsca może spowodować, że bioenergoterapia zacznie funkcjonować na obrzeżach medycyny oficjalnej zamiast niej, a to byłoby zjawisko niekorzystne.

— Użył pan słowa sojusznik. Co to oznacza w praktyce?

— Po pierwsze, bioenergoterapia może być cennym pomocnikiem na etapie diagnostyki, po drugie zaś, naturalnym partnerem w procesie leczenia. Oczywiście w zależności od indywidualnego przypadku i rodzaju schorzenia, bioenergoterapeuta będzie partnerem pierwszoplanowym lub drugoplanowym, z czym musi się pogodzić. Wiadomo na przykład, że o ile fizykoterapeuta nie odgrywa podstawowej roli w leczeniu zapalenia trzustki, przy schorzeniach narządów ruchu wysuwa się na pierwszy plan. Generalnie uważam, że czego nam dziś najbardziej potrzeba, to spojrzenia na całe zagadnienie bez euforii ale i bez uprzedzeń.

— Czy można mówić w Polsce o próbach naukowej weryfikacji zjawiska bioenergoterapii?

— Nie, nie można.

— A czy przy dostępnych środkach technicznych, istniejącej aparaturze diagnostyczno-badawczej, analiza taka mogłaby zostać podjęta?

— W zasadzie tak. Mówię: w zasadzie, gdyż nie potrafimy na razie „zmierzyć" natężenia pola bioelektrycznego, wytwarzanego przez ludzi, obdarzo-

nych tymi zdolnościami. Nie dysponujemy takim narzędziem badawczym jakim jest, powiedzmy, rentgen, który pozwala na uzyskanie jednoznacznego wyniku. Z drugiej jednak strony istnieją już słynne zdjęcia kirilianowskie, wykonane w Związku Radzieckim, które próbują uchwycić promieniowanie emanowane przez ludzki organizm i utrwalić je na kliszy.

Węzłowym problemem, jaki dziś przed nami stoi, jest próba fizycznej interpretacji zjawiska. Uważam, że w tej mierze powinna obowiązywać maksymalna otwartość postaw. Jeśli na przykład zaakceptowaliśmy już fakt — lata całe negowany — że w człowieku istnieje energia elektryczna (wszak elektrokardiogram jest niczym innym jak zapisem czynności elektrycznych serca) to nie ma żadnego powodu by kwestionować istnienie również innych rodzajów energii. My wprawdzie zapisujemy ekg z powierzchni ciała, ale jest to związane z wielkością przepływu tego ładunku oraz określoną czułością aparatury. Być może już w niedalekiej przyszłości będziemy dysponowali takimi elektrodami, które umożliwią dokonywanie zapisu na przykład z odległości metra od pacjenta. Oznaczałoby to zaakceptowanie przez naukę kolejnego faktu: możliwości emanowania energii poza obręb własnego ciała.

Obecnie na podstawie dostępnych danych — możemy powiedzieć tylko tyle, że biopole oznacza pewną ilość energii elektrycznej emanowanej przez człowieka, której dokładnie nie możemy zmierzyć. Ale to nie znaczy, że ona nie istnieje. Istnienie biopola wynika zresztą wprost z innych zjawisk, przede wszystkim metabolizmu komórkowego człowieka, który oznacza subtelny ruch jonów, atomów, działających w określonych obszarach pól elektrycznych i magnetycznych. Dlaczego mielibyśmy przyjmować,

że odbywa się to jedynie w obrębie naszej skóry?

— Jaką wartość z punktu widzenia poznawczego ma obserwacja na monitorze pracy serca, którego wykres — w trakcie oddziaływania bioenergetycznego na chorego — zaczyna się podnosić? Dodajmy, że chodziło o nieprzytomnego pacjenta.

— Takie doświadczenie należy uznać za stosunkowo obiektywne, gdyż możliwość symulacji z którejkolwiek strony została zredukowana do minimum. Mówiąc nawiasem, jest to bardzo ciekawe również z innego punktu widzenia. Przecież, kiedy chcemy pomóc osobie cierpiącej na zaburzenia rytmu serca poprzez ustabilizowanie jego własnej czynności elektrycznej, dostarczamy energię z zewnątrz, a w przypadku śmierci klinicznej, pobudzamy tę energię za pomocą elektrowstrząsu. Jeśli więc podobny efekt występuje w rezultacie dotyku dłoni, możemy — na zasadzie analogii — domniemywać, że chodzi właśnie o oddziaływanie typu energetycznego.

— Jakie niebezpieczeństwa grożą bioenergoterapii w dalszym rozwoju?

— Są one zależne od tego, czy bioenergoterapię rozpatrujemy w płaszczyźnie faktu biologicznego, a więc i medycznego, czy też zjawiska społecznego. W pierwszym przypadku niebezpieczeństwo polega na tym, że będziemy długo nie doceniać bioenergoterapii, a tym samym utrudnimy jej wprzęgnięcie w ogólny system terapii i diagnozy. Z kolei bioenergoterapii traktowanej jako zjawisko społeczne grozi niebezpieczństwo polegające na wyemancypowaniu się, nielegalnym uprawianiu i braku właściwej weryfikacji bioenergoterapeutów, co utoruje drogę rozmaitym szarlatanom, dyspnującym odpowiednią siłą przebicia. Powiedzmy zresztą otwarcie, że klimat po temu jest bardzo sprzyjający. Stanowi

to rezultat zawodu, jaki sprawia oficjalna medycyna.

— Co jest, pana zdaniem, przyczyną tego zawodu?

— Zawód, jaki przeżywa dziś cała medycyna światowa, związany jest przede wszystkim ze zbiurokratyzowaniem się systemów organizacyjnych służby zdrowia oraz farmakoterapią, a ściślej mówiąc, skutkami jatrogennymi zażywania leków, będących syntetycznymi związkami chemicznymi. Te leki ze względu na swoje uboczne działanie w ostatecznym rachunku często okazują się szkodliwe dla zdrowia. Stąd właśnie gwałtowny zwrot ku ziołom, znanym wszak od wieków. Trudno też w tej sytuacji dziwić się, że ludzie tak wiele oczekują od medycyny naturalnej. Nie zapominajmy przy tym, że polskie społeczeństwo znajduje się w sytuacji szczególnej, gdyż jest dodatkowo rozchwiane psychicznie warunkami kryzysowymi. Wszystko to powoduje, że stopień zaufania do medycyny oficjalnej wyraźnie maleje.

— Co pan sądzi o tezie, że nie ma nieuleczalnie chorych, są natomiast chorzy, których na obecnym etapie wiedzy nie potrafimy jeszcze wyleczyć?

— Jest mi ona bardzo bliska. Potwierdzają ją zresztą doświadczenia szpitala terminalnego w Londynie, gdzie stwierdzono, że stworzenie ciężko chorym warunków psychicznych do godnej śmierci powodowało natychmiastowe przedłużenie wskaźników życia pacjentów dotkniętych chorobami nowotworowymi.

Bioenergoterapia, jak każda metoda leczenia, zawiera w sobie elementy psychoterapii, co wcale nie ujmuje jej wartości. Co więcej; zostało stwierdzone, że, jeśli w procesie leczenia odetniemy psychoterapię koncentrując się jedynie na metodzie somatycz-

nej — przy jednoczesnym zminimalizowaniu kontaktu z chorym — to z miejsca stracimy dwadzieścia procent pozytywnych efektów wyleczenia bądź subiektywnego dobrego samopoczucia pacjenta. Niemal na truizm zakrawa powtarzanie, że — w zależności od schorzenia — czasem wystarczy życzliwość lekarza, partnerski sposób rozmowy z pacjentem, stworzenie odpowiedniej atmosfery, jednym słowem to wszystko czego fachowcy od medycyny somatycznej zazwyczaj się wstydzą, uważając że zawsze i wszędzie powinno rozstrzygać szkiełko i oko.

— Niestety, wszystkiego nie rozstrzyga...

Jerzy Łaniewski

TRZY SPOJRZENIA NA MAGNIFICENCJĘ

Z pierwszego wyjazdu do Katowic wróciłem z pustym notesem. O byłym rektorze Śląskiej Akademii Medycznej, prof. J. Janie Jonku, nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Z wyjątkiem pewnej koleżanki po fachu, która poradziła mi, żebym sobie raczej dał z tą sprawą spokój. Ona sama, za opublikowany ongiś artykuł o „brudach" w akademii, miała później sporo przykrości. Obawiałem się, że będę musiał posłuchać tej rady. Nie tyle z przezorności, co niemożności zebrania tzw. materiału.

Przypadkiem dowiedziałem się, że telewizja nadała film dokumentalny: „Cysorz i Jolanta Król". „Cysorzem" — bohaterem negatywnym był interesujący mnie człowiek — były rektor akademii. Znalazłem autora owego filmu — reżysera Krzysztofa Gradowskiego. Dzięki jego życzliwości zobaczyłem film. To był punkt zaczepienia. Zebrałem jeszcze dodatkowo wycinki prasowe (kiedyś sporo pisano o byłym rektorze) i znów wyjechałem na Śląsk. Kilka dni przesiedziałem nad szesnastoma tomami akt sądowych sprawy przeciwko oskarżonemu J. Janowi Jonkowi.

Wróciłem z nadzieją, że opierając się na filmie, publikacjach prasowych (na ogół z lat 80—81) i aktach sprawy sądowej, potrafię przekazać czytelnikom swoją wersję kariery i upadku prof. dr. hab. J. Jana Jonka i mechanizmów karierę tę tworzących.

SPOJRZENIE PIERWSZE (pisane w lutym 1983)

W życiorysie Józefa Jana Jonka jest kilka dat, które metaforycznie można nazwać „kamieniami milowymi".

Przede wszystkim wart odnotowania jest fakt przyjścia na świat. Miało to miejsce w Kolonowskim, (na terenie województwa opolskiego) miejscowości naonczas leżącej na terytorium III Rzeszy Niemieckiej. W dniu 8 marca 1928 roku Wiktorowi Jonkowi i jego małżonce Anastazji z domu Dreja urodziło się dziecię płci męskiej, któremu na chrzcie świętym dano imiona Józef Jan.

Józef Jan zdążył skończyć szkołę (niemiecką oczywiście) i siedemnaście lat, kiedy Śląsk Opolski powrócił do macierzy. Potem był okres pracy w charakterze robotnika w niewielkiej fabryce tektury, a w kilka lat później, w roku 1955, w Śląskiej Akademii Medycznej złożył uroczyste ślubowanie Hipokratesa młody lekarz Józef Jonek. Przez dalsze szesnaście lat Józef Jonek drapał się mozolnie po szczeblach kariery naukowej. W roku 1971 był doktorem habilitowanym, miał stanowisko docenta i kierował zakładem histologii Śl. A.M. Jesienią 1971 roku doc. Jonek został mianowany rektorem swojej macierzystej uczelni. To było wydarzenie jak na stosunki akademickie rzadkie: docent rektorem? Taki skok w górę z pominięciem normalnych naukowych szczebli? Nie była to decyzja dla wszystkich jednoznacznie mądra. We wspomnianym tu filmie dokumentalnym Krzysztofa Gradowskiego, jeden z jego bohaterów tak wspomina moment owego awansu docenta Jonka: *...było to niespodziewane dla całego środowiska, a szczególnie dla środowiska partyjnego. Jako członek Komitetu Uczelnianego i Egzekutywy ogromnie zaskoczony byłem na zebraniu Egze-*

kutywy, poświęconym sprawie obsadzenia stanowiska rektora, kiedy przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego przyniósł nam w teczce kandydaturę docenta Jonka. Pomimo sprzeciwu — i to sprzeciwu całkowitego, jednomyślnego wszystkich członków Egzekutywy — poinformowano nas, że Komitet Wojewódzki jest świadom pewnych braków psychicznych, czy pewnych wad charakterologicznych docenta Jonka, ale ma on tyle zalet, że w okresie rozwoju uczelni powinien zostać rektorem.

9 XI 71 r. „Trybuna Robotnicza" zamieściła podziękowanie dla prof. dr Witolda Niepołomskiego, który przez poprzednie 9 lat pełnił funkcję rektora i powiadomiła mieszkańców Śląska, że nowym rektorem jest J. J. Jonek i zaraz w tymże samym artykule powiadomiła czytelników, że *prof. dr hab. Józef Jan Jonek zapewnił, iż koncepcje rozwojowe uczelni będą szczegółowo dyskutowane z Senatem, Organizacją Partyjną i konsultowane szeroko z całym gronem pracowników, żeby ich ostateczny kształt możliwie najlepiej odpowiadał ambicjom kadry naukowo-dydaktycznej, a także potrzebom regionu.*

Potem kilkakrotnie jeszcze rektor Jonek wypowiada się na łamach pism regionalnych. Za każdym razem snuje opowieści o wspaniałym dniu dzisiejszym i jeszcze wspanialszym jutrze. Czytając uważnie takie enuncjacje można dojść do wniosku, że gdzieś między wierszami snuje się sugestia, że nie tylko każde nowe laboratorium, każda nowa sala wykładowa czy gmach uczelniany, ale nawet nowy Centralny Szpital Kliniczny w Katowicach-Ligocie stanowi pomnik na cześć i chwałę rektora J. Jana Jonka. Tak właśnie: J. Jana Jonka (żeby było oryginalnej — nikt przecież nigdy nie używa inicjału pierwszego imienia. To, że od roku 1973 przy

wszystkich oficjalnych okazjach pojawia się J. Jan Jonek, jest być może tylko marginesem sprawy, mało ważnym.... Ale ile trzeba było myśleć o sobie, jak trzeba było snobować się na swoją wielkość, żeby wymyśleć owo J. na samym początku! W efekcie, poza plecami magnificencji określano go skrótem: „Dżi-Dżi-Dżi" (z angielska). Mogłoby to być określenie pełne sympatii, ale nie było.

Wielkość Jego Magnificencji była przezeń pielęgnowana zawsze, w każdym miejscu, w każdej sytuacji, przy każdej okazji. Nie spotkałem człowieka, który byłby świadkiem kameralnego spotkania J.J.J. ze Zdzisławem Grudniem czy innym członkiem władz najwyższych, ale domyślam się, kto wówczas „stał na baczność". Czytałem natomiast w prasie z 1981 roku, że ludzie równi prof. Jonkowi stopniem naukowym, nawet przewyższający go w powadze swojego dorobku naukowego, byli przez niego zwykle traktowani z pogardliwym dystansem, z lekceważeniem. Cytat z wypowiedzi znanego naukowca ze wspomnianego już filmu „Cysorz i Jolanta Król": *...przed biurkiem rektorskim w gabinecie rektora nie było fotela ani krzesła dla petenta. Petent musiał stać przed rektorem.*

Musiała też cały czas stać — tylko stać! — przed rektorskim biurkiem dr Jolanta Król z tytułu filmu. I to nie przed samym biurkiem, ale zaraz u wejścia („głębiej nie śmiałam wejść... Przed biurkiem stała pani profesor, mój promotor...")

Cała ta historia zaczęła się wtedy, kiedy w robotniczej dzielnicy Katowic, Ligocie, stwierdzono wielokrotne zachorowania na ołowicę — chorobę atakującą przede wszystkim układ nerwowy człowieka, a jeżeli ten człowiek jest dzieckiem — uniemożliwiającą mu normalny rozwój umysłowy. Ołowicę odkryła u jednego z szopienickich dzieci prof.

Bożena Hagen-Małecka ze Śląskiej Akademii Medycznej. Główny ciężar walki z chorobą wzięła na siebie lekarka tamtejszej przychodni, Jolanta Król. Ona przeprowadziła akcję błyskawicznego przebadania ponad 4500 dzieci z terenu zanieczyszczonego pyłami emitowanymi z komina huty. Wraz z nią w tej szalonej pracy, która była dramatycznym wyścigiem ze śmiercią lub kalectwem, wziął udział cały personel maleńkiej, peryferyjnej przychodni. „Padały na nos" jej koleżanki — lekarki, pielęgniarki, laborantki pracowały bez ograniczenia czasu, bez godzin przyjęć, bez dni wolnych. Wszystkie nici akcji trzymała jednak w ręku dr Jolanta Król, bowiem ów zagrożony ołowicą teren, obejmował akurat jej rejon i choroba groziła jej podopiecznym. Po wygraniu wielkiej batalii, postanowiono, że właśnie dr Król opracuje całość materiałów z akcji przeciwołowicowej i napisze na tej podstawie pracę, którą przedstawi w Śl. A.M. w celu uzyskania stopnia doktora nauk medycznych.

W tym momencie zadziałały hamulce. Bo co innego wygłosić publiczną deklarację o konieczności uzyskania „dokładnego wszechstronnego obrazu stanu zdrowia mieszkańców regionu", a zupełnie co innego przyznać się, że w owej epoce powszechnej szczęśliwości i oszałamiających sukcesów, powstają ogniska takich chorób społecznych. Przecież zakażenie terenu powstało wskutek wypuszczania do atmosfery szkodliwych gazów przez wielki zakład przemysłowy, było efektem zwyczajnego, nieodpowiedzialnego trucia otoczenia przez hutę.

A więc umiano rozwiązać problem — ogromnie trudny na przeludnionym Śląsku — przesiedlenia rodzin z zatrutego wycinka miasta, zburzyć domy istniejące na zagrożonym terenie. Więcej — po paru latach walk i przetargów — zamknięto szkodliwy

dla otoczenia wydział huty. Ale pozostawić w naukowym piśmiennictwie ślad takiego zanieczyszczenia środowiska, dokument tego, że wśród zatrutych, zakażonych dzieci zdarzały się przypadki stałego kalectwa — co to, to nie. Praca lek. Jolanty Król została skazana na śmierć w rektorskim sejfie. Zamknięta osobiście przez rektora w tym sejfie. Dr Król nie uzyskała doktoratu. Nie zapoznano z metodami walki z ołowicą, które zostały wypróbowane w Szopienicach, całego środowiska lekarskiego.

Jego Magnificencja prof. dr Jonek mógł już spokojnie wypowiedzieć się tak oto na łamach prasy („Trybuna Robotnicza" z dnia 29 maja 1980 roku): *...Spotykamy się często z pytaniem, czy medycyna zrobiła już wszystko dla ratowania zdrowia ludzi tej trudnej branży* (chodzi tu o górnictwo — przyp. J. Ł.). *Odpowiadamy uczciwie — nie, wiele pracy jeszcze przed nami. Ale podkreślamy też — i nie ma w tym najmniejszej przesady, że żadna inna służba zdrowia, w najbogatszych krajach świata, nie byłaby w stanie zrobić w tej dziedzinie więcej, niż nasza — socjalistyczna. W górnictwie stworzyliśmy nowy, wzorcowy model działania.*

Cudowne samopoczucie i przekonanie, że rektorowi wszystko wolno, brało się tylko z tego, że J.J.J. co rusz składał oświadczenia w tonie obowiązującej „propagandy sukcesu". Brało się przede wszystkim stąd, że sam Zdzisław Grudzień, I sekretarz KW roztaczał nad rektorem Śl. A.M. swoisty parasol ochronny. Szła fama wokół, że parasol „księcia Decembra" jest bardzo szczelny i nikt nie jest w stanie skutecznie skrytykować jego pupila.

Później, tzn. w 1981 r. w „Kulisach" w artykule przedstawiającym sylwetkę b. rektora znaleźć można było taką anegdotkę: „Jonek zwrócił się do Zdzisława Grudnia z prośbą sformułowaną na piś-

mie: *proszę o wyrażenie zgody na wyjazd służbowy do RFN Oberhofen, celem poznania zakupionej do instytutu aparatury.* Sekretarz Grudzień wyraził na to zgodę, ale widocznie odpis listu trafił do biura współpracy z zagranicą w Ministerstwie Zdrowia, bo ktoś zadzwonił do KW. Telefon odebrał młody i niedoświadczony instruktor partyjny, żółtodziób jeszcze — można powiedzieć. Pracownik Ministerstwa spytał co Jonek ma wspólnego z aparaturą i dlaczego on właśnie jedzie do Oberhofen. „Macie rację, to dziwne — zgodził się instruktor — moim zdaniem powinien wyjechać jakiś inżynier, specjalista od aparatury medycznej" I na tym rozmowa się zakończyła. Po dwóch, czy trzech dniach treść rozmowy dotarła do samego Grudnia. Wpadł on w furię, kazał instruktorowi zostawić wszystko i w ciągu pięciu minut opuścić gmach KW. Potem przez pół roku człowiek ten nie mógł znaleźć pracy".

Tu zbliżamy się do kolejnego słupa milowego w życiorysie J. Jana Jonka. Sierpniowo-wrześniowy ferment roku 1980 w kraju zdmuchnął znad rektora Jonka ochronny parasol. Marek Bohdaj w tygodniku „Kulisy" tak spisywał koniec dziewięcioletniej władzy absolutnej prof. Jonka: „...Gdy zaczął się nowy rok akademicki (1980/81 — przyp. J. Ł.) Jonek wyczuł swąd wokół swojej osoby. Najpierw zwlekał ze zwołaniem Rad Wydziałowych, potem zwołał Senat, który udzielił mu votum zaufania. Nie było to dla nikogo zaskoczeniem, gdyż Senat składał się z ludzi mianowanych właśnie przez rektora.

Do otwartego buntu doszło 23.10.1980 roku na posiedzeniu czterech Rad Wydziałowych. Profesorowie i docenci po raz pierwszy od kilku lat wystąpili z otwartą krytyką rektora. Przełom nastąpił w momencie, gdy przemówił doc. Zygmunt Górka,

który w ten sposób zwrócił się do rektora: „Jego Magnificencjo Rektorze! Należy pan do okresu, który minął. Apeluję do pana o ustąpienie w trybie natychmiastowym". Rektor siedział nieporuszony, w ogóle się nie odzywał. „Pańska odmowa natychmiastowego ustąpienia — kontynuował doc. Górka — jest równoznaczna z moim wnioskiem, który zgłaszam, o bezzwłoczne przeprowadzenie tajnego głosowania". Za wnioskiem o odwołanie rektora ze stanowiska wypowiedziało się 118 osób przeciw 31 osobom; wstrzymały się od głosu 4 osoby. Ministerstwo Zdrowia zatwierdziło tę decyzję".

Był to pierwszy ciężki cios. Na pocieszenie pozostały jeszcze byłej Magnificencji funkcje dyrektora Instytutu Biologiczno-Morfologicznego i kierownika Zakładu Histologii Śląskiej Akademii Medycznej. Był też ciągle jeszcze członkiem władz partyjnych.

Śmierć cywilną zapoczątkowało ogłoszenie wyników kontroli zespołu inspektorów Najwyższej Izby Kontroli. W artykule „Wielkość i upadek jego Magnificencji" („Trybuna Robotnicza" nr 102 z końca maja 81 roku) red. Nina Grella pisała: *Protokół NIK-u z przeprowadzonej kontroli działalności byłego rektora uczelni oraz 6 innych osób, związanych z nim węzłami pokrewieństwa lub zwykłej współpracy, to dokument obszerny i niezwykle bulwersujący. Fakty dotyczące systematycznego nadużywania władzy i stanowiska, wykorzystywania ich dla celów osobistych, dowody nieliczenia się z opinią podwładnych i niektórych zwierzchników, graniczą tu bowiem ze zwykłymi, kryminalnymi przestępstwami, w pierwszym rzędzie finansowymi.*

W związku z tym w maju 1981 roku Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej podjęła decyzję o wykluczeniu prof. Jonka i paru najbliższych jego współpracowników z szeregów partii. Łatwo sobie

wyobrazić, czym było to dla człowieka, który swoją życiową karierę, całą drogę od pracownika fizycznego w fabryce produkującej tekturę, aż po miejsce w panteonie wojewódzkim, wiązał z aktywnym członkostwem w partii rządzącej.

W dwa tygodnie później, w sali koncertowej WOSPRiTV w Katowicach, odbyło się otwarte zebranie partyjne organizacji uczelnianej. Józef Jonek na tym zebraniu nie stawił się. Przecież członkiem partii już nie był. Poinformowano zebranych o zarzutach, jakie wysuwano pod adresem byłego rektora i jego najbliższych współpracowników. Z sali pada wniosek o wykluczeniu tych ludzi, którzy „skalali nie tylko własne dobre imię, ale również dobre imię uczelni" nie tylko z szeregów partii, ale też ze społeczności akademickiej. Wniosek zebrani przyjmują ogromną większością głosów. Komitet uczelniany PZPR zobowiązany zostaje do wystąpienia w tej sprawie do władz Śląskiej Akademii Medycznej.

J. Jan Jonek minął kolejny słup milowy. Minął go w szaleńczym ześlizgu. I w coraz większej samotności. Tak to jest bowiem, że od ludzi, których niemal istotę całą stanowi wysoka funkcja, kiedy tej funkcji zabraknie — zaraz odsuwają się wszyscy — pierwsi zaś ci, co niedawno płaszczyli się przed nim.

Były rektor, były pracownik naukowo-dydaktyczny akademii, były aktywny członek partii, ma dużo czasu na myślenie. Myśli co się stanie z nim dalej. Obawia się, że wyniki kontroli NIK-u będą dla niego druzgocące, co zapowiada pierwszy etap kontroli, po którym NIK ogłasza — pod naciskiem opinii publicznej — „wyniki wstępne". Mówi, że ma wkroczyć prokurator. I żebyż to robiło się wokół „Dżi-Dżi-Dżi" tylko coraz bardziej pusto. Ale nie. Rów-

nocześnie robi się coraz nieprzyjemniej i to nie tylko na płaszczyźnie oficjalnej. Wyłazi ludzka natura, która potrzebuje zemsty. A najłatwiej mścić się na kimś „byłym". J.J.J. spotyka się — nawet z ust dawnych przyjaciół, współpracowników — ze złośliwościami na każdym kroku. W dzień i noc dzwoni telefon, przez który ktoś robi sobie niezbyt wybredne żarty. Może studenci zatruwają życie byłego rektora na każdym kroku, a może ktoś inny? Faktem jest, że powodów do zemsty jest tyle, że da się tym obdarzyć zespół kilkakrotnie większy od personelu Śl. A.M. wraz z całą wojewódzką służbą zdrowia. A im kto przedtem bardziej się płaszczył, tym ostrzej występował potem przeciw. Normalka.

I prof. dr hab. J. Jan Jonek nie wytrzymał. Spakował co się dało, zlikwidował dewizowe konto w banku Polskiej Kasy Opieki i opuścił Polskę. Oficjalnie nie na długo, tylko w celu turystycznym i nie daleko — na Węgry. Miał przy okazji maleńki incydent na granicy, bo okazało się, że „zapomniał" zebrać ze sobą uprawnienie do przewiezienia przez polską komorę celną tzw. walut wymienialnych. Powrócił tedy z powrotem do Katowic, ale tylko po to, aby wkrótce innym przejściem spróbować tego, co się raz nie udało.

W hotelu w Budapeszcie poznaje jakiegoś Jugosłowianina. Ten zapaławszy do naszego uczonego i wywiezionych przezeń z PRL dolarów wielką miłością, postanowił mu natychmiast pomóc w dalszych turystycznych peregrynacjach. W efekcie, w kilka dni później, w pociągu relacji Budapeszt—Belgrad, węgierscy pracownicy graniczni zwrócili uwagę na nerwowo zachowującego się pasażera z austriackim paszportem. Według wpisanych doń danych pasażer nazywał się Horst Schmalvogl, co na język polski dało się przetłumaczyć jako „Pieniężny ptak". Sęk

tym, że rysopis w paszporcie zupełnie nie zgadzał
ę z tym, co na własne oczy widzieli pogranicznicy.
indagowany w tej kwestii Schmalvogl nie wytrzy-
ał nerwowo i szybko przyznał się do swojego
awdziwego nazwiska i narodowości.

Koniec wielkiej kariery aż groteskowy. W dniu
lipca 1981 roku niedawny prominent, przyjaciel
ominentów, odstawiony zostaje pod strażą z po-
rotem do kraju. Czeka go — tym razem już nie do
iknięcia — sprawa sądowa. A przecież jeszcze rok
mu J.J.J., rektor Śl. A. M., przyjaciel I sekretarza
W, co dla nikogo nigdy nie ulegało wątpliwości
w tym szukano klucza do kariery, był poza zasię-
em milicji, prokuratury, urzędów administracji,
ydziałów finansowych... zaledwie jeden rok wcze-
iej.

W pół roku po niesławnym powrocie do kraju —
.01.82 r. do Sądu Wojewódzkiego w Katowicach
płynął akt oskarżenia przeciw Józefowi Janowi
nkowi, synowi Wiktora i Anastazji, zamieszkałe-
u w Katowicach, zatrudnionemu do dnia 31 VII
r. w Śląskiej Akademii Medycznej, w tym do
ia 31 X 80 r. w charakterze rektora.

Sąd Wojewódzki w Katowicach usytuowany jest
starej, zaniedbanej dzielnicy miasta. Jakiś smut-
y jest plac Andrzeja, przy którym stoi budowa-
e grubo przed II wojną światową, ponure gma-
ysko.

Tu w dniu 23 lutego 1982 roku na ławie oskarżo-
ych zasiadła jedna z najjaśniej świecących w mi-
onym dziesięcioleciu gwiazd „okresu grudniowego"
a Śląsku.

Akt oskarżenia zdziwił jednych, drugim dał oka-
ę do pokazania znajomym kilku min z cyklu „wta-
mniczony, co z góry wie wszystko". Powodem za-
oczenia były zarzuty, jakie stawiał oskarżonemu

Jonkowi prokurator. Nielegalne przekraczanie granicy znalazło się dopiero na piątym miejscu, jako najmniej istotny szczegół w całym procesie.

Prokurator oskarżał Józefa Jana Jonka o to, że: Po pierwsze: będąc odpowiedzialnym za ochronę mienia uczelni, przestępstwem ciągłym zagarnął na szkodę tej uczelni sumę 756.063 zł. W tym za pracę konsultanta do spraw mikroskopii elektronowej pobrał 134.520 zł., a żadnej pracy nie wykonał. Również *wbrew przepisom prawa pracy, pomimo długotrwałej, nie usprawiedliwionej nieobecności w pracy swej żony Teresy Jonek, nie rozwiązał z nią stosunku pracy, a pobrał za nią nienależne 447.277 zł.* Dalej — zlecił podległemu uczelni gospodarstwu ogrodniczemu wykonanie prac przy swoim domku w Wiśle i nie zapłacił 67.594 zł. W dodatku nadużył samochodów służbowych do prywatnych wyjazdów do Wisły i do miejscowości Klonowskie w woj. opolskim, za co powinien zapłacić kierowanej przez siebie uczelni sumę 106.727 zł. Po drugie — w okresie od 78 do 80 roku, będąc rektorem i działając przestępstwem ciągłym, przekroczył uprawnienia w zakresie prawidłowego gospodarowania majątkiem uczelni, powodując szkodę w sumie — 1.411.607,80 zł.

Suma ta składa się z nie uzasadnionych wydatków na alkohole i posiłki (296.238,80 zł). Oraz z kosztu zleconej, bez uzasadnionej potrzeby, zmiany wystroju architektonicznego i zainstalowania drogich urządzeń, w zajmowanych przez siebie pomieszczeniach służbowych (1.115.369 zł). W trzecim punkcie oskarżenia znalazła się rodzinna dobroć pana-rektorowa: *działając w celu przysporzenia korzyści majątkowych Jerzemu Jonkowi i Barbarze Gruszeczce, polecił wypłacić im, bez wykonania prac — Jerzemu Jonkowi 110.800 zł a Barbarze Gruszeczce — 86.830 zł.*

Oto jak ogromna miłość do rodziny rzutowała na posób wydawania państwowych pieniędzy. Na czym o polegało? Otóż istniały np. w wykazach jakieś race badawcze, które wykonać miała siostrzenica rofesorowej Jonkowej, dr Barbara Gruszeczka. Prourator twierdzi, że owych prac nie wykonała, a porała z kasy Akademii 86.830 zł. No, ale dr nauk iedycznych, B. Gruszeczka, była pracownikiem nauowym Śl. A. M. i jako taka do wykonania badań pecjalistycznych, potrzebne umiejętności miała. Gozej jest jednak z wytłumaczeniem konieczności porzeby badań, które miał wykonywać, ale nie wykoywał, choć brał za to wynagrodzenie, inż. rolnik, rowadzący wielkie uspołecznione gospodarstwo rol.e, a przypadkiem rodzony, młodszy brat prof. Jona.

Na czwartym miejscu listy zarzutów znalazło się vywiezienie bez zezwolenia do Węgier 800 dolarów JSA, wartości (ówczesnej) 26.528 zł. Dziś owe 800 ol. równa się na czarnym rynku blisko czterystu ysiącom złotych polskich.

I w końcu: *w dniu 26 czerwca 81 roku usiłował rzekroczyć granicę węgiersko-jugosłowiańską, posługując się fałszywym paszportem austriackim nr I 0942138 na nazwisko Horst Schmalvogl.*

Dodatkowo jeszcze Śląska Akademia Medyczna vystąpiła z roszczeniami o zwrot 2.365.300,80 zł.

No i zaczął się maraton sądowy, który nieomal ioże konkurować z procesem prezesa radiokomitetu, Macieja Szczepańskiego. Do lata 82 r. odbyło się edenaście posiedzeń sądu, po czym nastąpiła letnia rzerwa. Na każdym z posiedzeń obrońcy oskarżoego ponawiali wniosek o „zmianę środka zapobiewczego". Prokurator protestował, sąd wniosek odalał i następne posiedzenie zaczynało się od tego amego tematu.

Wertując grube tomy akt, nie można oprzeć się wrażeniu, że mecenasi Aleksander Borecki z Katowic i Stefan Mikula z Krakowa, przyjęli metodę obrony, którą można by nazwać: „na przetrzymanie". Przed stołem sędziowskim przewija się ogromna liczba świadków, których jedynym zadaniem jest niekiedy stwierdzenie, że na pytania zadane przez obronę bądź prokuratora, nie są w stanie odpowiedzieć ani tak, ani nie. Po prostu nic o sprawie nie wiedzą, lub posiadają informacje całkowicie marginalne, które zresztą Wysokiemu Sądowi były przedstawiane już po wielekroć.

Wbrew pozorom jest to metoda bardzo skuteczna, jeżeli chodzi o odwrócenie uwagi środowiska naukowego Akademii Medycznej od byłego rektora. Odczułem to na własnej skórze.

„Proszę pana — powiedział mi jeden z docentów Śl. A. M., uzasadniając odmowę udzielenia jakichkolwiek informacji — jeżeli tylko towarzystwo „dookołajonkowe" zorientuje się, że rozmawiałem z panem, natychmiast zostanę znów wezwany na świadka. Najpierw cały dzień, albo i parę dni włóczenia się po budynku sądowym, a potem infantylne pytania w stylu: czy wiem, co Jonek jadał na podwieczorek? Nie stać mnie na takie marnowanie czasu. Bardzo przepraszam".

Na ostatnim posiedzeniu przed przerwą letnią — adwokaci zwyciężyli. Sąd zwolnił oskarżonego z aresztu śledczego i w czasie dalszego procesu odpowiada on już z „wolnej stopy". W aktach znajduje się pismo mec. Stefana Mikuli, który wniosek o zwolnienie Józefa Jonka z aresztu śledczego poparł wyliczeniem chorób, na które cierpi jego klient. Lista tych chorób jest przerażająco — ktoś powiedział mi nawet podejrzliwie — długa:

1. Choroba nadciśnieniowa ze zmianami na dnie oka.
2. Stan po porażeniu połowicznym, wywołanym wylewem krwi do mózgu.
3. Choroba depresyjna, powstała w wyniku wylewu krwi do mózgu.
4. Dyskopatia szyjna i lędźwiowo-krzyżowa z objawami bólowymi w kończynie dolnej lewej, bólami głowy, zawrotami głowy, zaburzeniami równowagi oraz bólami i zaburzeniami czucia w kończynach.
5. Przewlekłe zmiany zwyrodnieniowe w kręgosłupie krzyżowo-lędźwiowym i szyjnym.
6. Nadkwaśność żołądka.
7. Przewlekła choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy oraz przewlekła choroba trzustki z objawami wymiotów fusowatych oraz bólami jamy brzusznej.

Na karcie 146 w tomie XVI znajduje się opis biegłych: *Stan zdrowia oskarżonego w ostanim okresie uległ znacznemu pogorszeniu,* co pozwala w konkluzji postawić wniosek o uchylenie aresztu. Pod opinią widnieją autografy trzech sław medycyny śląskiej: doc. dr. hab. Romualda Kobzy, neurologa, doc. dr. med. Tadeusza Zielińskiego, specjalisty chorób wewnętrznych i reumatologa; oraz doc. dr. med. Jana Masnego, specjalisty chorób wewnętrznych.

Katowicka plotka oczywiście twierdzi, że wszystko to wymysł chytrego adwokata... I że ci wybitni lekarze stawiają diagnozy na zasadzie: „Kruk krukowi nie wykole..." Rozmawiałem po powrocie na ten temat ze znakomitym lekarzem z Warszawy, człowiekiem będącym daleko od zawiłych układów personalnych medycyny śląskiej. Po przejrzeniu listy chorób stwierdził: „Ostrożnie z wiarą w plotki. Porażenia po wylewie nie potrafi nikt symulować".

Widocznie sąd stanął na podobnym stanowisku, bo zwolnił Józefa Jonka z aresztu prewencyjnego. Nie dziwię się zespołowi sądzącemu, że dał wiarę trzem znakomitym lekarzom, którzy podpisali opinię. Nie zasłużyli przecież na podważenie ich autorytetu. Ale nie da się ukryć, że opinia śląska przyjęła tę decyzję — delikatnie mówiąc — niechętnie. Opinii publicznej też się nie dziwię. Profesor Jonek długo i ciężko pracował na społeczną, powszechną niechęć.

Z wolnej stopy oskarżony Jonek zdążył odpowiadać w dniu 22 września, 1 października, 17 grudnia, 21 grudnia 1982 roku i 6 stycznia 83 roku. Na kolejną sesję, w dniu 25 stycznia, oskarżony nie stawił się, przysyłając przez adwokata zaświadczenie, że akurat znajduje się w klinice neurotraumatologicznej w Bytomiu, gdzie został poddany operacji.

Rozmawiałem z ordynatorem kliniki. Nie jest to człowiek, który swoją karierę zawdzięcza byłemu rektorowi. Powiedziałem mu o krążących plotkach. „Nie mam żadnych powodów, żeby być wdzięcznym za cokolwiek profesorowi Jonkowi — powiedział mi. — Raczej nie czuję do niego sympatii, jak ogromna większość pracowników naszej Akademii. Dlatego można mi wierzyć, kiedy mówię, że jest to dziś człowiek naprawdę poważnie chory. Operacja była konieczna, odwlekanie jej musiałoby mieć dla pacjenta fatalne skutki". W czasie rozmowy z ordynatorem usłyszałem m. in. zdanie, które, jak mi się zdaje, pomaga rozwiązać zagadkę stanu zdrowia b. Magnificencji, dziś oskarżonego Józefa Jonka. Doc. Mrówka stwierdził: „Nigdy nie wdrapywałem się tak wysoko jak były rektor. Moja kariera związana jest z udanymi operacjami, skutecznymi kuracjami. Ale mam tyle wyobraźni, aby móc wyobrazić sobie, co czuje prof. Jonek po tak gwałtownym upadku. Upadek ze szczytów, z miejsca do którego nie sięgały

zwykłe prawa szarych obywateli, od razu na ławę oskarżonych, musi być bardziej bolesny od innych, pozornie podobnych upadków".

3 grudnia 1982 roku do Sądu Wojewódzkiego w Katowicach wpłynęło pismo mec. Mikuli, obrońcy oskarżonego Jonka, wnioskujące powołanie dalszych 193 świadków. Żart? Nie. Wiadomo, że Sąd nie zgodzi się na większość proponowanych osób, orientując się już, że nie potrafią one nic nowego wnieść do sprawy, nie potrafią zbliżyć Wysokiego Sądu od odkrycia prawdy materialnej. Ale wiadomo też, że nie odrzuci wszystkich, bo wyglądałoby to na złośliwe utrudnianie pełnienia obowiązków obrończych. A im więcej wpisze się ludzi, tym więcej ludzi będzie przewijać się przez salę. Tym więcej dni przez Sąd Wojewódzki ciągnąć się będzie korowód świadków. I do wydania wyroku będzie coraz dalej i dalej. Potem odwołanie... Potem nowa, ponowna sprawa. Czas płynie, wiele wraz z nim się zmienia, jeszcze więcej może się zmienić... Zmieni się też wartość pieniądza. Kiedy przyjdzie oddawać przypisane do zwrotu sumy, to milion w roku 1974, 75, 76... okaże się znacznie pojemniejszy niż milion z roku 83 albo 84 czy 85, jeśli sprawę uda się przeciągnąć jeszcze rok, dwa...

Ze wszystkich dokumentów, z wielostronicowych protokołów zeznań świadków w czasie kolejnych sesji Sądu Wojewódzkiego, można wyciągnąć wniosek, że jedną z dominujących cech charakteru prof Jonka była pazerność. Straszliwa pazerność, która sprawiała chęć wyciągnięcia ręki po każdą sumę, którą można w niezupełnie uzasadniony, albo całkiem nie uzasadniony sposób uzyskać. Oczywiście owo „wyciągnięcie ręki" jest tylko przenośnią. Ręka rektora nie wysuwała się sama. Dookoła człowieka na stanowisku zawsze kręci się grupka, no, może grupa

ludzi, którzy z własnej inicjatywy dbają o to, żeby każda luka w przepisach stawała się dla ich „mistrzów" kranikiem, z którego ciągnąć mogą różne, finansowe i niefinansowe dobra. A przy okazji odkręcania takich kraników pomagierom suwerena też zwykle coś po drodze kapnęło... A poza tym — ileż to się przepisów omija (również tych, określających wysokość zarobków), aby zapewnić sobie przychylność ludzi „dobrze ustawionych", tych, co „wiele mogą". Np. przełożony Teresy Jonek — żony rektora nie zwracał uwagi na fakt, że jeden z foteli dentystycznych na stomatologii, jest nie używany przez trzy lata. Dr Teresa Jonek to osoba ciężko chora. Ten fakt nie ulega wątpliwości. Ale zwolnienia lekarskie, znajdujące się w aktach akademii, obejmują zaledwie 50 dni, co stanowi usprawiedliwienie tylko 5 proc. czasu opuszczonego. A więc pobranie przez osobę chorą prawie pół miliona złotych za pracę lekarza dentysty — pracę, która w rzeczywistości wykonywana nie była, inspektorzy NIK potraktowali jako wykroczenie, prokurator zaś jako wyłudzenie — czyn karalny. Jego Magnificencja też miała korzystać z tego, że jeśli człek możny nie pracuje, ale dostaje za to pieniądze, inni przymykają na to oczy. Fikcyjna praca J.J.J. polegała na tym, że zatrudnił się on sam w podległym sobie szpitalu na stanowisku konsultanta do spraw mikroskopii elektronowej. Jak stwierdziły to organa kontrolujące, żadnej pracy w tym charakterze nie wykonywał, a jednak pobrał za to z kasy szpitalnej 134.520 zł.

Wśród zestawień zbędnych — a w każdym razie uznanych za zbędne przez NIK i prokuratora — wydatków, znaczące miejsce zajmują kwiaty. Tylko w roku 1978 Akademia wydała na kwiaty ponad siedem tysięcy złotych.

Nie widzę tu poważnego zarzutu, a raczej próbę

pokazania oskarżonego jako lizusa, czego dowodem jest, że najdroższa wiązanka w historii Śl. A. M., która kosztowała 1000 zł wręczona została I sekretarzowi KW, Zdzisławowi Grudniowi. Inną wiązankę „półgrudniową", za jedyne 500 zł, otrzymał od J.J.J. wiceminister komunikacji. Poza kwiatami, na liście „niepotrzebnych wydatków" figurują bardziej kosztowne prezenty. Np. Andrzej Żabiński, b. I sekretarz KW z Opola, otrzymał na imieniny od rektora Jonka akwarelę za 5150 złotych (cena wskazuje, że akwarela została oficjalnie kupiona w sklepie „Desy", bowiem tylko „Desa" dolicza sobie 3 proc. na specjalne cele). Do rachunku za akwarelę doszedł rachunek za „grawurę" za skromne 432 zł. Owa „grawura" jest najlepszym dowodem, że prezenciki takie były sprawą otwartą, powszechnie stosowaną i bynajmniej niewstydliwą. Dlaczego Akademia Medyczna w Katowicach czciła imieniny I sekretarza KW w Opolu? Nie wie tego ani prokurator, ani tym bardziej reporter. Widocznie jak się czciło, to trzeba było czcić. A może sekretarz z Opola „coś" za ten prezent miał załatwić? Może. Takie wzajemne załatwianie za wzajemne prezenty, też było powszechną praktyką... Nikt nie uważał tego za przestępstwo... Ot i paradoks. Bo potem przyszedł czas, kiedy za takie coś odpowiada się przed sądem. Ale wracajmy do konkretnych sum.

Do kwiatów i obrazków prokurator dołączył koszta bukietów. Wyszło mu w sumie prawie 300 tysięcy złotych. Przy kwiatkach to było prawie nic, a później uzbierało się niemało. W sam raz na uzasadnienie zarzutu niegospodarności, tym bardziej, że „doszły" jeszcze do tego koszta unowocześnienia gabinetu rektorskiego w zakładzie histologii za 1.115.369 zł, tak — milion z groszami za to, aby siedzieć imponująco w imponującym gabinecie.

A jeszcze dodano w akcie oskarżenia do długów rektorskich niebagatelną sumę 106 tysięcy z groszami za korzystanie ze służbowego samochodu do celów prywatnych. Ładny to grosz. Jak to zaś wygląda obrazowo, dowodzi rachunek kilometrażu, który uświadamia zdumionemu reporterowi, że profesor Jonek objechał służbowym samochodem całą kulę ziemską dookoła i jeszcze dodatkowo trasę równą dwóm wyprawom z Warszawy do Lizbony i z powrotem. A przecież akt oskarżenia nie obejmuje żadnej Lizbony, mówi tylko o wyjazdach do Wisły i rodzinnej wsi rektora — Kolonowskie.

Odkładam akta sądowe, aby znów spojrzeć na łamy prasy z lat 80—81 i J.J.J. coraz bardziej zaczyna przypominać mi b. prezesa Szczepańskiego. Bo oto np. tak jak b. prezes — b. rektor też miał specjalny ośrodek odnowy biologicznej, zainstalowany w Centralnym Szpitalu Klinicznym i zarezerwowany do wyłącznej jednoosobowej dyspozycji. W różnych relacjach prasowych, wymieniano różne godziny rozpoczynania porannych zabiegów wokół rektorowego organizmu, autorzy jednak są zgodni, że codziennie półtorej godziny trwało to nabożeństwo. Cóż się tam nie działo! Np. wg. relacji „Kulis" b. rektor *zażywał masaży podwodnych, biostymulacji sterowanej elektronicznie (do wyboru 29 programów) masaży ręcznych itp. zabiegów regenerujących spracowane ciało. Mógł też korzystać na miejscu z sauny, oraz wypoczywać w pokoju rekreacyjnym. Rzekomo zdarzało się, iż poza rektorem z kompleksowej odnowy organizmu, korzystali tu jeszcze inni — rzekomo trzy osoby. Kto to jednak był i czy rzeczywiście byli do tego sanktuarium dopuszczani, nie wiadomo.*

Z lektury tygodników dowiedziałem się również, że b. rektor Śl. A. M. wprowadził taki zwyczaj przy

przyjmowaniu kandydatów na uczelnię, że dla dzieci osób na „odpowiedzialnych stanowiskach" miejsca były zawsze. Z „miejsc rektorskich" nigdy nie skorzystał ktoś zdolny, a skrzywdzony przy egzaminie! J.J.J. umiał dbać o swoje sprawy. Nie tylko przy egzaminach wstępnych. Również przy dyplomowych. Autorzy artykułów z lat 80—81 dowodzą, że J.J.J. umiał tak wpłynąć na egzaminatorów, żeby ten, kto „powinien" zdać — zdał na pewno.

Takie były rektorowo-Jonkowe obowiązujące prawa. Ci pracownicy Śl. A. M., którzy ich nie szanowali — musieli odejść. Rektor Jonek znał układy w środowiskach sprawujących wojewódzką władzę i wdzięczność ludzi znaczących umiał sobie zapewniać. Dzięki temu mógł przez tyle lat dzierżyć władzę absolutną w uczelni. Nie kontrolowaną od zewnętrz, a od wewnątrz tym bardziej.

O tym, jak rektor akademii traktował tych, którzy teoretycznie mogli go kontrolować — np. kierownictwo uczelnianej organizacji partyjnej — tak pisała „Trybuna Robotnicza": *Nie liczył się ze stanowiskiem i opinią Komitetu Uczelnianego w sprawach kadrowych i wszystkich innych, zmieniał I i II sekretarzy KU według własnego uznania... Opinię tę* tak rozwijały „Kulisy": *JJJ zmieniał sekretarzy Komitetu Uczelnianego jak rękawiczki. Charakterystyczna jest przygoda jednego z ostatnich sekretarzy partyjnych uczelni. Zaufany współpracownik Jonka zwoływał członków senatu na posiedzenie, co ów sekretarz skomentował: „Dajże spokój, znowu będzie to samo". Ta uwaga wystarczyła, żeby stracić nowego sekretarza.*

Taką wiedzę zdobyłem na podstawie obejrzenia jednego filmu dokumentalnego (z 1981 r.), przeczytania w paru tygodnikach kilku artykułów (opublikowanych w 1980 i 1981 roku) i przestudiowania

kilku grubych teczek akt z rozprawy sądowej. Nie była to wiedza imponująca, natomiast dość jednostronna i pochodząca na ogół z tzw. drugiej lub trzeciej ręki.

Dlatego też postanowiłem rozszerzyć pole widzenia, skłonić potencjalnych informatorów do szczerych rozmów, nie poddawać się nastrojom zniechęcenia. Czyli wyjechać po raz wtóry do Katowic i na Śląsk. Może znajdę tam kogoś, kogo spojrzenie na byłego rektora nie jest oskarżycielskie? Może znajdę kogoś, kto odsłoni mi jakieś jego dobre strony? Dla publikacji, które poznałem dotąd, charakterystyczne było stawianie wielu zarzutów, nie zawsze należycie udokumentowanych. Nie zawsze też w dokumentach, które dane mi było poznać, dość wyraźnie określone zostały źródła i przyczyny takiego, a nie innego postępowania oskarżonego. Biorąc to wszystko pod uwagę, napisałem przed powtórnym wyjazdem list do samego b. rektora — prof. dr Jonka — tej treści:

Panie profesorze!

Przygotowuję artykuł dotyczący Pana osoby i Pana kariery. Usiłowałem skontaktować się z Panem osobiście w dniu 18 lutego, ale nie wyraził Pan zgody na rozmowę ze mną. W dotychczas poznanych dokumentach i w rozmowach z osobami znającymi Pana osobiście i współpracującymi w przeszłości z Panem, spotykałem się wyłącznie z negatywnymi opiniami o Pańskiej działalności. Pragnąłbym usłyszeć również Pańską ocenę faktów, jak też komentarz naświetlający ogólne tło piastowania wysokich funkcji w tamtych latach.

Uczciwość i rzetelność zawodowa nakazuje mi staranie o przedstawienie Czytelnikom również Pańskich racji.

Dlatego jeszcze raz zwracam się do Pana z propo-

zycją przeprowadzenia bezpośredniej rozmowy. Będę na Śląsku i spróbuję skontaktować się z Panem.

SPOJRZENIE DRUGIE (pisane w początkach marca 1983 r.)

Kolonowskie. W Encyklopedii Powszechnej: *Prawa miejskie w 1973 roku — 4,0 tys. mieszkańców (1972). Przemysł chemiczny, drzewny, papierniczy (fabryka tektury), węzeł kolejowy (Fosowskie).* W autopsji reporterskiej jest to duża, zasobna wieś. Prawa miejskie są — a tymczasem brak tu rynku. W ogóle nie ma jakiegoś centralnego punktu. Wszelkie instytucje, które traktowane są jako nieodzowne atrybuty centrum, ulokowane są wzdłuż długiej trasy wiodącej kręto kilkoma ulicami miasteczka i ograniczonej — z jednej strony — budynkiem stacji kolejowej, z drugiej zaś — kościołem. Kościół ma rzadko spotykany kształt pełnego koła, zamkniętego na górze wysokim stożkiem. Dom parafialny, duży dziedziniec kościelny. Czystość i porządek kościelnego obejścia jest uwieńczeniem porządku panującego w całym Kolonowskim. Od stolicy województwa, Opola, dzieli Kolonowskie nieco ponad 30 km a do stolicy makroregionu południowego, Katowic — 80 km.

W czasie, kiedy urodził się Józef Jan Jonek, Kolonowskie było osiedlem robotniczym. Mało znaczącym i raczej ubogim. Był to daleki, wschodni skraj Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. O kilkanaście kilometrów, w Kośmidrach, była już granica. W Kolonowskim, podobnie jak w innych miejscowościach bliskich granicy, głośno i publicznie mówiło się po niemiecku, w domu — po polsku. Polacy — mieszkańcy tego rejonu, przyswoili sobie od Niemców wiele

cech charakteru, m. in. porządek, pracowitość, posłuszeństwo władzy i lojalność. Lojalność doprowadzona do absurdu i pracowitość skrzyżowana z uporem — to też były powody późniejszej kariery rektora J. J. Jonka.

W Kolonowskim spotkałem dwóch ludzi, którzy pamiętają Józefa Jonka z lat czterdziestych. Nie wyrażają się o nim z sympatią, ale obydwaj przyznają, że był nadzwyczaj twardy i „miał, panie, taką jakąś siłę w sobie, taką siłę do roboty i taką zawziętość". Jeden z tych dwu, porównując się z Jonkiem również: „Ja to jestem z takiej samej, jak on, biedy, ale niewiele osiągnąłem, bo nie potrafiłem tak jak on ciągle robić i robić".

Od kolegów z dzieciństwa i pierwszej młodości późniejszego władcy medycyny śląskiej, dowiedziałem się, że młody Jonek jednocześnie pracował w miejscowej fabryce tektury i uczył się. Szkoła średnia była w sąsiednim miasteczku Zawadzkie. Tam dopiero zaczął naukę w języku polskim.

Jeden z tych kolegów też chyba skończył wyższe studia, bo — jak mi opowiadali ludzie — pracował na stanowisku, które wyższych studiów wymaga obligatoryjnie. Dziś jest to zgorzkniały człowiek, mający pretensję do wszystkich i o wszystkich mómiący źle. O Jonku też źle mówił, ale po chwili namysłu dodał: „Nie lubię go, ale muszę mu być wdzięczny, bo gdyby nie on już dawno byłbym w piachu. Poszedłem do niego i pomógł. Do szpitala bez niczego od razu wziął i żyję". Notuję więc pierwszy plus po stronie Jonka. Miał jednak jakieś ludzkie uczucia!

W Kolonowskim jest duży ośrodek zdrowia. W innych wsiach podobnie dużych, nie widziałem. Kieruje nim dr Wantulok, internistka; współpracuje pediatra — dr Kalinowska. Oprowadzają mnie po bu-

dynku. Na parterze przychodnia dla dzieci zdrowych, z drugiej strony wejście i poczekalnia dla dzieci chorych. W gabinecie specjalna lampa, dająca promieniowanie bakteriobójcze. W ośrodku jest też apteka. Poznaję młodą panią magister farmacji. Za salą sprzedaży magazynek podręczny, dalej nieźle — na moje oko — wyposażone laboratorium, a w piwnicy duży magazyn leków i środków opatrunkowych. Też w piwnicy gabinet fizykoterapii, z aparatami nie zawsze spotykanymi w wielkomiejskich przychodniach. Na parterze gabinety: internistyczny, zabiegowy, dentystyczny, pomieszczenie dla położnej i wspaniale wyposażony gabinet ginekologiczny. Wierzę na słowo lekarzom z Kolonowskiego, że to w małomiasteczkowych ośrodkach niesłychana rzadkość. Na razie brak ginekologa, ale kierownik ZOZ-u obiecał. Przed gabinetem stomatologicznym kolejka jak w dużym mieście. Na drzwiach informacja, że dzieci szkolne mają swoje specjalne dni przyjęć. Aparatura nowoczesna z szybkoobrotowymi maszynami do borowania. „— Nie ma wątpliwości — mówi dr Wantulok — że ten ośrodek to zasługa prof. Jonka. W czynie społecznym mieszkańcy postawili fundamenty. I tak to trwało lata. A my przyjmowaliśmy w takim walącym się baraku. Potem profesor wziął się za to sam i zaczął poganiać budowę. Wykorzystał swoje znajomości we władzach i proszę: to, co mamy — tego nikt nam nie odbierze. A ważne jest, że profesor Jonek ustawił nam też kontakty z akademią, z klinikami".

Z opowieści obydwu pań dowiedziałem się, że na hasło „Kolonowskie" otwarte były wszystkie przychodnie kliniczne w województwie katowickim. Mało tego — przyjeżdżali tu na miejsce, do przychodni zdrowia w Kolonowskim, najwybitniejsi specjaliści ze Śląskiej Akademii Medycznej, adiunkci, docenci...

Przebadali całą ludność gminy. Kiedyś przyjechali okuliści z samą — wówczas chyba jeszcze docent — Adrianą Gierkową na czele. Przebadano wszystkie dzieci, a po tygodniu, te które miały osłabiony wzrok, dostały okulary. Na miejscu, bez jeżdżenia do optyka, bez kłopotów. Ba, rektor Jonek załatwił dla swojej wsi rodzinnej nawet karetkę pogotowia. Dziś — po politycznej śmierci opiekuna — karetkę zabrał sobie, prawem kaduka, ZOZ, a hasło „Kolonowskie" przestało działać w klinikach i przychodniach Śl. A. M. Ale ośrodek nadal istnieje i służy dobrze mieszkańcom. A piętrowy dom handlowy? Rektor pomógł i to bardzo, bardzo troszczył się o swoją wieś rodzinną, ale było o co. Ludzie docenili".

Wszyscy, z którymi spotykałem się i nawiązywałem rozmowę w Kolonowskim, stwierdzali zgodnie, że „rektor" — tak go tu w skrócie nazywają — to człowiek niesłychanie skromny i przystępny. Z każdym pogadał, starych znajomych nie omijał. Ten satrapa, który poważnych, zasłużonych naukowców traktował juk udzielny książę, dla chłopów z rodzinnej wsi był prostym, przystępnym człowiekiem, równym wśród równych.

Rodzina Jonków mieszka w samym końcu miasteczka. Jeszcze kilka chałup i las. W małym ogródku pomiędzy ulicą a budynkiem równymi rzędami rozkwitają pierwsze krokusy. Domek wygląda dość przyzwoicie, ale nie jest to willa w znaczeniu miejskim. Ot, takie pudełko z dwuspadowym, wysokim dachem, jakie spotyka się często; taki jak dzieci rysują w pierwszych klasach szkoły podstawowej na lekcji rysunków. Z tyłu duża stodoła. Na ulicy przed ogrodzeniem stoi pusta przyczepa, więc i traktor zapewne jest w gospodarstwie. Nie widać tu jednak dobrobytu. W Kolonowskim większość zagród wygląda dostatniej.

Zastaję matkę, wysuszoną staruszkę i brata, potężnego mężczyznę około pięćdziesiątki. Przedstawiam się. Patrzą na mnie niechętnie.

— Jaki naprawdę jest profesor Jonek? Jakim widzicie go wy, najbliższa rodzina?

Matka wybucha płaczem.

— Taki człowiek jeszcze się nie urodził i długo się nie urodzi. To był największy profesor jakiegośmy mieli! I co? Zniszczyli go. Za to, że wszystkim robił dobrze?

Syn stara się uspokoić matkę. Przychodzi mu to z trudem. Staruszka ciągle pochlipuje, powtarzając, że na najwspanialszym człowieku popełniono zbrodnię. Matka, jak matka, wiadomo. Wychodzę z mężczyzną na dwór. Słyszę, że wszystko, co dzieje się od roku 1980 z bratem, to wynik spisku i to spisku politycznego. Mój rozmówca zaprzecza wszelkim zarzutom, jakie przeciw bratu sformułował prokurator. Brał pieniądze? Widać miał do tego prawo. A co się czepiają tej jego biednej żony? Przecież ma pierwszą grupę inwalidzką, więc jakieś pieniądze jej się należą. Nie tak, to inaczej swoje by dostała. Na koniec stwierdza, że wszystko przez to, że brat-profesor gonił do roboty i utrzymywał w akademii porządek. Bez porządku nic nie ma! I oni go dlatego zgnoili.

— No, niech pan powie, gdzie jest powiedziane, że wolno tak zgnoić człowieka? Ja panu mówię, że bez niego to się wszystko, ale to wszystko tam zawali.

A więc jest miejsce na świecie, gdzie profesora Jonka, byłego rektora, widzą inaczej. Wśród mieszkańców Kolonowskiego cieszy się dużą estymą, a dla rodziny jest zgoła męczennikiem.

Co dziwniejsze, niektóre cechy charakteru b. rektora, rysują się w jego wsi rodzinnej zgoła inaczej

niż w Katowicach. Jakoś sympatyczniej. Na przykład jego stosunek, nawet po zrobieniu kariery do matki i ojca — prostych rolników — był wprost nadzwyczajny. Nigdy się ich nie wstydził. Zawsze ich szanował. A przecież dla dzisiejszych czasów typowa jest zgoła odwrotna postawa...

W prasie z lat 80—81 wyczytałem o „wspaniałej willi na wsi". Miałem w Kolonowskim okazję obejrzeć tę „wspaniałą willę". Dach pokryty nowym, pomarańczowym eternitem falistym. Okna nie mają szyb. Rektor zaczął remontować ten dom, ale jak go zamknęli, to i remont stanął. Willa nie jest nowa. To zresztą w ogóle nie willa, a dom po jakiejś kuzynce, która „wyjeżdżała do RFN i nie miała za co" — jak ludzie mówią — „więc rektor kupił od niej tę ruinę, z dobrego serca. I tak nie dla siebie, tylko dla swojej żony i jej siostrzenicy". Na kogo to zapisane — jest mniej ważne. Ważne jest, że nie jest to magnacka siedziba — jak to przedstawia fama, krążąca po Katowicach.

Sąsiednie miasteczko — Zawadzkie. W nim liceum ogólnokształcące, do którego uczęszczał młody Jonek. Dyrektor liceum jest zbyt młodym człowiekiem, aby mógł pamiętać Jonka, jako ucznia. Dyrektorem jest od kilku lat. Ale oczywiście, zna profesora Jonka. Przed paru laty w Zawadzkim odbywała się uroczystość rocznicowa.

— Postanowiłem ją jakoś urozmaicić — mówi dyrektor. — Poszukałem w szkolnych zapisach i powynajdywałem dawnych uczniów naszego liceum, którzy porobili w życiu kariery. Wysłałem do wszystkich zaproszenia. Zjawił się jeden profesor Jonek. Popatrzył, popytał, obejrzał szkołę. „Jeżeli będę mógł w czymś wam pomóc — mówi — to proszę do mnie przyjeżdżać". Różnie o nim mówili, więc myślę sobie — o! takie gadanie... Aż tu kiedyś tele-

fon: „Rektor prosił o zawiadomienie, że szkoła dostanie sprzęt, który w akademii już się wysłużył". Przyjechał sprzęt i przywiózł go jakiś pan. Nie tak „z rączki do rączki". Wszystko było spisane, pokwitowałem, wciągnęliśmy do rejestru szkolnego. Wszystko legalnie, zgodnie z przepisami. Potem byłem parę razy u rektora w Katowicach. Rozmawiał bardzo grzecznie, ale rzeczowo. Potem, parę razy akademia przekazywała jakiś użyteczny sprzęt naszej szkole. Często używane, ale w większości do dziś nam służą. Najważniejszym prezentem prof. Jonka jest nowoczesna maszyna dentystyczna. A właściwie nie prezent, bo ona funkcjonuje, jakby na zasadzie wypożyczenia. Co roku potwierdzamy oficjalnie, że istnieje i służy, kiedy w akademii robią remanent. I tyle... Aha, mogę o prof. Jonku jeszcze to powiedzieć, że jeśli ktoś z Kolonowskiego zwrócił się do profesora z prośbą o pomoc w leczeniu, to zawsze tę pomoc otrzymywał.

Z tym nowym uzupełnionym znacznie wizerunkiem prof. Jonka, udałem się ponownie do Katowic. Pierwsza wizyta — w rektoracie akademii... Nie zastałem dr hab. Franciszka Kokota — obecnego rektora. Za to obejrzałem sobie pomieszczenie zajmowane przez rektorów, od czasu przeniesienia siedziby władz uczelni z Zabrza do Rokitnicy. Z holu wchodzi się do poczekalni, z poczekalni drzwi na lewo prowadzą do sekretariatu, na prawo do sali posiedzeń senatu. Przez sekretariat oczywiście, droga do gabinetu rektora.

Próbuję raz jeszcze skonfrontować portret rektora Jonka, nakreślony przez kolegów dziennikarzy tuż po jego upadku z tym, co dziś się o nim mówi. Pani siedząca w sekretariacie nie ma wątpliwości. Przyjemny nie był. „Ileż to ja razy przez niego płakałam". Nie miał żadnej tolerancji, żadnego pobła-

żania nie można było od niego oczekiwać. Ale — z drugiej strony — musi przyznać sprawiedliwie, że nie miał również pobłażania dla siebie. Był niezmiernie obowiązkowy, pracowity. Pracował w gabinecie nieraz do szóstej, siódmej. Jakieś proszki popijał ogromnymi ilościami lodowatej wody, wypijał po parę kaw dziennie. To był cały jego posiłek — sekretarka nie ma wątpliwości:

— To że dziś jest w tak ciężkim stanie, to efekt takiego trybu życia przez dziewięć lat rektorowania.

Później, w wielu rozmowach — bo wreszcie, podczas drugiej wyprawy do Katowic, ludzie zaczną ze mną mówić i uzyskam informacje z pierwszej ręki, ta charakterystyka potwierdzi się. Jonek — człowiek nad wyraz pracowity, obowiązkowy, wymagający strasznie wiele. Od innych i od siebie. Ale to, że od siebie — to jego sprawa. A to, że tyle samo od innych, to również sprawa tych innych. W dodatku forma, w której rektor Jonek zwracał uwagę podwładnym, sposób w który egzekwował swoje rektorskie uprawnienia, były często upokarzające. Niezależnie od tego, czy rektor miał rację, czy nie miał — karcony przyjmował rektorskie uwagi z niechęcią, bo czuł się urażony tonem, jakim rektor zwykł się zwracać do ludzi. Postawić się? To było niebezpieczne. Więc ludzie stulili w sobie urazy, które wybuchły, gdy tylko pojawiła się szansa zmian systemowych w kraju.

W sali posiedzeń na dwóch ścianach wisi galeria rektorów Śląskiej Akademii Medycznej. Na ścianie przylegającej do holu — czterej dostojni panowie w wytwornych garniturach. Na ścianie z drzwiami wejściowymi z poczekalni, trzech rektorów w strojach koronacyjnych. Birety i purpurowe płaszcze z gronostajowymi pelerynkami. Razem pierwszych siedmiu rektorów Śl. A. M., których listę zamyka

właśnie prof. Jonek. Po nim nastał prof. Zbigniew Herman, farmaceuta. Wybrany w demokratycznych wyborach, wspierany zasłużonym szacunkiem całej akademickiej społeczności zrezygnował już ze swojego urzędu i na jego miejsce wstąpił prof. Franciszek Kokot, internista. Mówili mi ludzie z Śl. A. M., o różnym nastawieniu do dnia dzisiejszego, że jeżeli już prof. Herman musiał odejść, to fakt, iż prof. Kokot objął schedę po nim, jest wyjątkowym uśmiechem opatrzności. Wszyscy twierdzą, że jest to wspaniały lekarz i człowiek. Któryś z moich rozmówców powiedział wprost, że „jest to zapewne wyrównanie przez los długów za dziewięć lat rektorowania Jonka".

W sali zastałem malarza wykańczającego portret prof. Hermana. W tym wypadku złamana została zasada portretów rektorskich w strojach paradnych. W ogóle zasada gali na portrecie. Prof. Herman uznał, że był i jest przede wszystkim pracownikiem służby medycznej. Dlatego na portrecie ubrany jest w lekarski biały fartuch. Portret stoi jeszcze na sztalugach, pan Zygmunt Łopuszyński niewidocznymi nieomal pociągnięciami pędzla wprowadza ostatnie korekty.

— A kto jest autorem tamtych portretów? — pytam mistrza.

— Też ja — odpowiada. — Z wyjątkiem tego — zastrzega się, pokazując portret akurat prof. Jonka. — Prof. Jonek nie chciał mnie, zażyczył sobie innego portrecisty.

Autorem portretu prof. Jonka jest artysta malarz Wyrożemski. Ponoć również, jak Łopuszyński, znany i ceniony. Koledzy dziennikarze z katowickich redakcji powiedzieli mi, że Wyrożemski wykonał dziesiątki portretów ludzi zasłużonych, stał się nadwornym malarzem ekipy Grudniowej i każdy sza-

nujący się człowiek „ścisłego kierownictwa" lub mający ambicję znaleźć się choć w jego pobliżu, starał się o portret pędzla malarza Wyrożemskiego.

Uważnie oglądam galerię. Nie jestem krytykiem, ale i dla laika jest widoczne, że portret prof. Jonka „odstaje" od pozostałych. Twarz portretowanego jest nalana, wyłupiaste oczy bezmyślnie patrzą na oglądającego. Przypomina mi to typowe „monidło" jarmarczne. Fotel wystający ponad głowę, upozowaną nienaturalnie sztywno i wspaniały płaszcz z gronostajowym kołnierzem. Twarz rektora jest czerwona, apoplektyczna, jakby z młodzieńczym trądzikiem. Wspaniałe gronostaje wyglądają jak dziecinny płaszczyk z białego pluszu, którego właściciela — wraz z okryciem — koledzy wrzucili do wielkiej błotnistej kałuży. Dziecko wysuszyło się przy kaloryferze i teraz czeka je surowa kara, więc stoi sztywno i boi się wejść do mieszkania. Dodam jeszcze, że niesłychanie dokładnie pan artysta przedstawił wszelkie odznaczenia. Jonek jest jednym z rektorów, który na pozowanie do portretu przyniósł wszelkie swoje odznaczenia i przypiął je do pelerynki. Naliczyłem ich aż trzydzieści jeden. Po lewej stronie piersi wszystkie zawieszone na wstążkach, od najważniejszych odznaczeń państwowych, aż po odznaczenie Janka Krasickiego. Stronę prawą zajmują „blaszki" mniej dostojne, takie przypinane bezpośrednio na śrubkę z nakrętką, agrafkę i szpilkę, w rodzaju „zasłużony dla województwa" albo „dla szerzenia...". Pod portretem wisi tabliczka: „Odwołany z funkcji rektora... Usunięty z uczelni...".

Myślę, że ów poodznaczany portret wiele mówi o oryginale. Ten człowiek był — z jednej strony — niebywale ambitny, chciał zajmować pierwsze miejsce za wszelką cenę — nawet za cenę śmieszności. A — z drugiej strony — był tak przekonany o wła-

snej wielkości, że śmieszności portretowego zdjęcia w ogóle nie widział. Można zresztą ten ośmieszający portret wytłumaczyć brakiem „wyrobienia", inną szkołą estetyki. Przyszły profesor i rektor wyszedł z biednej chaty „podludzi" w wielkim Imperium Hitlerowskim, a potem pracował nad wybiciem się tak wytrwale i zajadle, że na wpojenie sobie zasad kultury współżycia, norm współżycia i norm estetycznych, po prostu nie starczyło czasu.

Zadanie następne — obejrzenie gabinetów w Zakładzie Histologii, tych przerabianych za przeszło milion złotych na wyłączne potrzeby rektora Jonka i jego najbliższych współpracowników. Następcy prof. Jonka na stanowisku kierownika Zakładu Histologii, nie zastałem. Udało mi się jednak obejrzeć na własne oczy ów ciąg pomieszczeń, legendarny, milionozarty, opisywany i przywoływany w opowieściach świadków w Sądzie Wojewódzkim w Katowicach. Jest to pięć kolejnych pokoi wzdłuż korytarza. Z tegoż korytarza wchodzi się bezpośrednio tylko do sekretariatu lub do salki konferencyjnej. Z sekretariatu na lewo do pokoju kierownika — dawniej prof. Jonka, na prawo do pokoju drugiej osoby w zakładzie — zajmowanego wówczas przez dr Barbarę Gruszeczkę. Za pokojem szefa jest jeszcze pokój przeznaczony do wypoczynku szefowego. Z małym zapleczem garderobiano-higienicznym, to jest minipokoikiem z szafą i umywalką. W dawnym pokoju rekreacyjnym dzisiejsi pracownicy zakładu urządzili podręczną bibliotekę.

Wystrój tych wnętrz jest może kosztowny, ale dość tandetny. Do sufitu boazeria mahoniowa, ale chyba to fornir nie lite drzewo. Meble można określić jako przyzwoite. W obecnej bibliotece cały zestaw szaf i regałów ozdobnie podrzeźbianych, dębo-

wych, pasujących do mahoniowych boazerii, jak przysłowiowa pięść do nosa.

W pokoju, w którym pracowała ongiś dr Gruszeczka, pokazują mi pozostałą koszmarną, tandetną lampę z eloksolowanej blachy, imitującej szlachetne metale i z plastykowymi wisiorkami imitującymi kryształ — jarmarczny szczyt złego gustu.

Przyszła mi do głowy myśl, że dobrze byłoby, gdyby kontrolerzy NIK, obok wykrycia ewidentnego marnotrawstwa w salonach prof. Jonka, pogrzebali także w rachunkach przedsiębiorstwa, które przeróbki wykonywało. Gwarantuję, że paręset tysięcy można by zdjąć z aktu oskarżenia przeciwko Jonkowi i zapisać na konto kanciarzy budowlańców.

Zwiedzając gmach akademii w Ligocie, usłyszałem z ust pewnego jej pracownika taką opowieść: „Przychodził pierwszy maj, a tu, jak na złość, nie dobiegała końca żadna wielka budowa socjalizmu. Sekretarz Grudzień nie miał co otworzyć. A budynek akademii był akurat w stadium wykańczania. Dziś już nie wie nikt, kto zdecydował o przyspieszeniu terminu oddania go do użytku. No i Grudzień miał gdzie przeciąć swoją wstęgę. Ale nikt nie wziął pod uwagę, że zanim zainstalowana na „łapu-capu" aparatura zaczęła działać jak należy — minęło więcej niż rok; nikt też nie zrobił sprawy o to, że podczas prób uruchomienia źle zainstalowane c.o. zalało kilka pomieszczeń; nikt wreszcie nie miał pretensji o to, że ekipy wykończeniowe wzięły wielkie pieniądze za poprawki tego, co same sknociły! „Jonkowi sumują wszystkie drobne sumy, a tym nikt rachunku nie wystawił! Rzeczpospolita zapłaciła, albo dopisała do długów" — słyszę.

Czy to była obrona Jonka? Nie. Przecież to Jonek osobiście wydawał dyspozycje prowadzenia ro-

bót z szybkością ponaddźwiękową, po kosztach ponadmyślowych. To było „normalne", bo pierwszy sekretarz chciał otwierać. Podobnie jak normalne było, że pomimo licznych krzeseł w gabinecie Jonka, interesanci stali pokornie przed biurkiem, za którym rozpierał się rektor. Bo taki był zwyczaj, bo rektor zapewne stał tak samo pokornie przed biurkiem Grudnia. A gdyby tak któryś z panów profesorów, podczas rozmowy z rektorem, usiał sobie wygodnie? Sam, nie pytając o zgodę. Zostałby usunięty z pracy? Nie wiadomo. A nie wiadomo dlatego, bo nikt nie próbował tak postąpić.

*

Przed tym drugim wyjazdem do Katowic udało mi się ubłagać kilku naukowców z Warszawskiej Akademii Medycznej, aby zadzwonili do swoich przyjaciół w Katowicach, wymuszając na nich spotkanie ze mną. „Ten reporter — rekomendowali — to człowiek dyskretny i słowny. Jak da słowo, to zmilczy jak grób". Udało mi się w efekcie rozmawiać z kilkoma ludźmi, którzy pod pieczęcią anonimowości, przekazali mi swoje przeżycia i swoje przemyślenia z dziewięcioletniego okresu królowania w akademii prof. Jonka.

— Dominującą cechą profesora Jonka była lojalność — powiedział pewien profesor. — Lojalność, może nie w najlepszym gatunku, bo do władzy, ale absolutna, bo np. w stosunku do Grudnia Jonek zachowywał się tak, jak niższy stopniem wojskowy, otrzymujący rozkaz od oficera. Wychowany w duchu niemieckiego porządku, Jonek wszystkie swoje polecenia wykonywał dokładnie. Tam, gdzie otrzymał tylko ogólne wytyczne, był „bardziej papieski niż papież". Wynikało to też z poczucia isto-

ty czasów. Były to czasy, których cechą dominującą miał być porządek, więc go robił pan rektor, jak tylko najlepiej potrafił. A że deptał ludzi po drodze? Nie ludzie byli celem. Celem był porządek.

— Docent Jonek ciężko pracował nad swoją karierą naukową — mówi mi pewien znajomy znajomych doc. dr hab. — To człowiek bardzo pracowity i dokładny. Widocznie zdawał sobie sprawę, że szczytów w światowej, a nawet krajowej nauce nie osiągnie. W roku 1968 * otworzyła mu się droga do innej kariery, łatwiejszej dla niego. Nie miał żadnych wątpliwości po czyjej stronie jest słuszność. Ów „samodzielny pracownik nauki" ani w sprawach nauki, ani w sprawach polityki nie myślał samodzielnie. Dlatego właśnie po trzech latach „samodzielnej pracy naukowej" został rektorem i ani przez chwilę nie zawiódł zaufania tych, o których wiedział, że im właśnie — a nie „wyborowi" — swoją karierę zawdzięcza.

— Gdy prof. Jonek obejmował funkcję rektora, byłem początkującym studentem — mówi mi inny znajomy znajomych, świetny chirurg. — Cały okres jego rektorowania, to pruski dryl na uczelni. Ze stanowisk kierowniczych odwołano wtedy, z inicjatywy Jonka, wielu wspaniałych, samodzielnie myślących ludzi. Widziałem jednak — szczególnie pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy już byłem asy-

---

* Ustawa o szkolnictwie wyższym z roku 1968 wprowadziła system ścisłej hierarchii funkcji zależnych, podporządkowanych decyzjom odgórnym. Minister mianował rektora, a rektor mianował prorektorów, dziekanów, dyrektora administracyjnego uczelni. Owi mianowani notable uczelniani wchodzili w skład senatu, który miał kontrolować rektora i jego działalność. Było to czystą fikcją i w uczelniach rządzili niepodzielnie, jednoosobowo rektorzy. Ustawa ta w świecie akademickim zyskała nazwę „ustawy kagańcowej". — (przyp. J. Ł.)

stentem, innych, równie mądrych, światłych ludzi, którzy bez namysłu popierali absurdalne pomysły rektora. Mądrymi też potrafi powodować strach. Kto się Jonka bał — ten przetrwał, nawet jeśli był krytycznie nastawiony, ale tę krytykę wyrażał po cichu.

SPOJRZENIE TRZECIE (pisane w końcu marca 1983 r.)

Oskarżony Jonek, po wyjściu z kliniki, gdzie został zoperowany, znalazł się na rekonwalescencji w sanatorium w Goczałkowicach-Zdroju. Zadzwoniłem do dyrektora sanatorium — doc. Gałaszka. Wątpił czy prof. Jonek zechce ze mną rozmawiać, ale obiecał zapytać go o to. Po godzinie dzwonię i nie mogę się połączyć. Mam złe przeczucia, ale kiedy połączenie zdobywam, docent Gałaszek zaprasza mnie do Goczałkowic: „Zgodził się" — mówi.

W pokoju szpitalnym stoją dwa łóżka. Jedno jest puste, lokator wyszedł na spacer. Na drugim leży chudy, stary człowiek. Wiem, że prof. Jonek ma lat 55. Znam go ze zdjęć w prasie, dzień wcześniej widziałem „monidło" w sali posiedzeń senatu akademii. Człowiek, którego widzę, w niczym nie przypomina postaci znanej mi z konterfektów.

Rozmowa nie klei się. Nie jest łatwe serwowanie choremu człowiekowi serii pytań, z których każde jest atakiem. Rozmawiamy więc o wszystkim i o niczym. Krążymy dokoła głównego tematu. Coś o Kolonowskim, o szkole, pracy i studiach.

— Całe życie pracowałem. Bez przerwy, bez wytchnienia — mówi prof. Jonek. Mówi prawdę. — Po wyzwoleniu pracowałem w fabryce tektury w Kolonowskim i chodziłem do szkoły do Zawadz-

kiego, a maturę zdawałem w Opolu. Potem dostałem się na studia. W tamtych latach nikt tak nie dbał o studenta. Od drugiego roku studiów byłem asystentem, a przez cały czas w sobotę, niedzielę i w każdy wolny dzień zjeżdżaliśmy z kolegami do kopalni, aby zarobić na dalsze studia. A mimo to miałem tzw. czerwony dyplom, czyli ukończyłem studia z wyróżnieniem. Całe życie pracowałem i ot, co mam za swoje — tu wymownym gestem pokazuje pokój szpitalny i siebie.

To prawda. O tym „czerwonym dyplomie" mówili mi w Katowicach wielokrotnie. Nie ma wątpliwości, że dyplom z wyróżnieniem oznaczał wybitną wiedzę przyswojoną w czasie studiów. — Musimy pamiętać — na co zwrócił mi uwagę jeden z profesorów bardzo nie lubiących byłego rektora — że w latach pięćdziesiątych, pomimo stalinizmu i różnego rodzaju czystek, większość wykładowców wyższych uczelni to byli ludzie, którzy wykształcenie i szlify naukowca zdobywali w Polsce międzywojennej. Trudno powiedzieć, że byli oni entuzjastami socjalizmu, że starali się od razu dopomóc państwu w tworzeniu silnej, socjalistycznej bazy. Dlatego działacze młodzieżowi — aby osiągnąć znakomite wyniki studiów — musieli naprawdę znać materiał przewidziany programem studiów.

Przechodzimy później do czasów bliższych dzisiejszym dniom. I tu coraz trudniej znaleźć wspólny język. Pragnę dowiedzieć się, w którym momencie i dlaczego wśród pracowników Akademii Medycznej zaczęła gromadzić się aż taka nienawiść do rektora, że wybuchła jesienią 1980 i w miesiącach następnych dziesiątkami listów, telefonów, plotek... Prof. Jonek nie wie. Nie rozumie dlaczego aż tak go nienawidzą.

— Nikomu nie zrobiłem krzywdy. Zawsze stara-

łem się postępować dobrze. Dbałem tylko o dobro uczelni. Ja naprawdę jestem bardzo pracowity i uważam, że tylko pracą można do czegoś dojść. Wymagałem tego od innych co i od siebie, a tu niewielu naprawdę chciało pracować.

Prof. Jonek twierdzi, że nie zastanawia się teraz nad przeszłością, ani nad przyszłością. Teraz chodzi o to, żeby wyzdrowiał, żeby skończyła się sprawa sądowa. „Przecież nic złego nie zrobiłem" — mówi. Jest to leitmotiv naszej rozmowy. Wierzę, że jest to wyznanie całkiem szczere. Profesor Jonek nie rozumie, że metody, które obrał, prowadziły do celu, którego nawet on zapewne nie chciał osiągnąć. Usiłuję dowiedzieć się o poziomie studiów i o wiedzy, z jaką wchodzili w życie, do pracy wśród społeczeństwa młodzi lekarze, absolwenci Śląskiej Akademii Medycznej. Profesor wie, że mówiło się o niskim poziomie studiów w Śl. A. M. Ale to nie była prawda. Testowe egzaminy z medycyny sądowej dają dowód prawdzie. Testy tą takie same dla wszystkich uczelni i tu katowiczanie wypadali dobrze.

— Dlaczego stworzył pan tego „tajnego recenzenta"? — pytam.

— Przecież mówili, że niski jest poziom prac, trzeba było jakoś podnieść ten poziom.

— W taki sposób?

— W każdy.

Profesor Jonek naprawdę nie wie, czego chcą od niego. — To jest akcja polityczna. Przecież senat nie zgodził się na moje odejście. A potem, na tej radzie, na której głosowano przeciwko mnie, to były naciski, gwałt psychologiczny.

Profesor Jonek nie wierzy, że był naprawdę znienawidzony w społeczności akademickiej. Naprawdę nie wierzy w to. Tragedia tego człowieka polega na tym, że przekroczył wielokrotnie próg niekompeten-

cji, nie sam — został na te szczyty wepchnięty, wciągnięty, a przed oczami miał jedynie negatywne wzorce.

— Szukałem odpowiedzi na pytanie, które tu panu stawiałem wielokrotnie: dlaczego pana nie lubili. Wiele osób odpowiadało mi bez namysłu: przede wszystkim dlatego, że Jonek był cham w stosunkach z ludźmi. Dlaczego tak było, panie profesorze?

Pytanie bardzo ostro sformułowane. Profesor Jonek nie obraża się. Odpowiada po chwili namysłu: „Widział pan mój dom, wie pan z jakich warunków wyrosłem. Skąd miałem wziąć to, co się nazywa kulturą?

Profesor Jonek tłumaczy, że jego nieszczęsna próba ucieczki z fałszywym paszportem, była efektem zaszczucia. Mógł czuć się aż tak zaszczuty. Przecież upadek, który przeżył, był trudny do zmierzenia. We wszystkich dziedzinach. Oficjalnie — z drabiny służbowej, na której zajmował już miejsce prominenckie. Ale również i prestiżowo — jego decyzje nie miały po upadku żadnej mocy; nikt go o decyzje nie prosił. Wyśmiewali się z niego w oczy, a jeszcze tak niedawno, jedno rektorskie słowo wdeptywało człowieka w ziemię.

— Nie byłem żadnym przyjacielem Grudnia — mówi. — W domu u niego nie bywałem, w karty z nim nie grywałem. Byłem najczęściej opieprzanym rektorem.

— Dlaczego pan, panie profesorze, naukowiec, dla którego krytycyzm jest podstawową metodą pracy, więcej — obowiązkiem wobec nauki, był pod bezkrytycznym wpływem takiej osoby, jak Zdzisław Grudzień?

Profesor Jonek pręży się w łóżku niemal na bacz-

ność. — Ale to był pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego! — rzuca bez namysłu.

Koniec. Ten człowiek jest naprawdę ciężko skrzywdzony. Zapłacił i płaci nadal najwyższą cenę za dziewięć lat nie kontrolowanej, absolutnej władzy. On tej władzy sprawować inaczej nie mógł, bo był na jego stanowisku potrzebny człowiek, który tak właśnie, a nie inaczej, będzie rządził. Dlatego go postawiono, że był właśnie taki — lojalny i pracowity. Ale za swoje czyny dorosły człowiek winien odpowiadać i surowy rozrachunek z profesorem Jonkiem był niezbędny. Z Jonkiem i jego okresem.

Ale... Doc. Gałaszek powiedział: To jest człowiek zniszczony dokumentnie. To jest wrak człowieka. Został zgnojony. Jestem lekarzem, muszę być humanistą, składałem przysięgę Hipokratesa i staram się — w miarę sił — dotrzymać jej. Były zarzuty, że przechowuję tu byłych prominentów. Nieprawda. Tu są pacjenci. Pacjent Jonek jest człowiekiem bardzo ciężko chorym. Nie wnikam w to, w jaki sposób i z jakich przyczyn stał się tak ciężko chorym człowiekiem. To wszystko. Aha. Jeszcze jedno — można wydać wyrok, można człowieka zabić, ale nie wolno człowieka zgnoić. To jest nieludzkie.

W rozmowach o rektorze Jonku w najlepszych jego czasach, powtarzało się to słowo w odniesieniu do jego postępowania z innymi. Straszny dylemat: sprawiedliwość czy zemsta?

*

Rzecz zastanawiająca — profesor Jonek nie mówi o nikim źle. O swoim głównym antagoniście z dramatycznych zebrań w 80 i 81 roku, wówczas docencie, Zygmuncie Górce, mówi, że jest to człowiek rzetelny i uczciwy i zastanawia się dlaczego go ata-

kował. Dla swojej obrony nie używa negatywnych ocen innych ludzi. Powołuje się na świadectwo wielu ludzi, którzy — obawiam się — nie mogliby wybielić powołującego się na nich.

O swoim zastępcy w Zakładzie Histologii, doc. Macieju Kalińskim, mówi: „...bardzo duży, bardzo mądry człowiek, zdolny, rokuje duże nadzieje na przyszłość. Niech pan z nim pogada, nich on powie panu prawdę".

Doc. Kaliński jest młodym człowiekiem, a wygląda jeszcze młodziej. To jeden z tych mocnych, otwartych ludzi, którzy od pierwszej chwili zdobywają zaufanie innych. Umawia się dopiero po południu, bo ma akurat ważne zebranie w Komitecie Uczelnianym. Znów jestem w słynnym gabinecie za milion.

— Czy broniłby pan swojego byłego szefa?

— Zdecydowanie tak. Popełnił błędów całą masę, ale już zapłacił za nie i za lata władzy, najwyższą cenę.

— A pana własne wspomnienia o profesorze Jonku?

— Dwadzieścia lat współpracy składa się z dobrego i ze złego. Na pewno wielu ludzi ma do niego uzasadnione, głębokie pretensje. Ale wielu też pomagał. Mnie nieraz też. To mógłby być dobry człowiek. Mam do niego szacunek, mimo że znam go nieźle, a może właśnie dlatego. Nie chciałem obejmować tego stanowiska, pracowałem już w innym zakładzie, ale kiedy konkurs nie dał żadnych efektów, zwrócono się do mnie, jako do człowieka, który zna tematykę, ludzi i potrzeby. Przez ponad rok byłem komisarycznym zarządcą, bo nie chciałem mianowania. — Długie milczenie. — ...Spokojnie uprawiałem swoją naukową działkę. Odtąd — dotąd. I uważałem, że jestem w porządku. Już wiem,

że to za mało, że nie wolno być kibicem, nie wolno milczeć, kiedy się widzi zło. Już nie będę milczał. Niezależnie od konsekwencji, jakie mogą mnie spotkać. Jest to jedyny sposób na szacunek. Do samego siebie.

Janusz Hańderek

„NIE WIEM CZY TO JA ZABIŁAM...",

— Mogłabym być bardzo szczęśliwa, gdybym potrafiła żyć. Czekam tylko na śmierć... — powiedziała reporterowi trzydziestoośmioletnia kobieta osadzona w areszcie śledczym w podkrakowskich Myślenicach. Matka oskarżona o zabójstwo piętnastoletniego syna... Syna, którego kochała.

Szpital

20 listopada 1981 roku we wczesnych godzinach wieczornych krakowskie pogotowie ratunkowe otrzymało wezwanie. Informacja była krótka: młody chłopiec został dwukrotnie uderzony nożem. Wysłano natychmiast karetkę reanimacyjną. Lekarz w rozmowie z reporterem tak relacjonuje swoje zetknięcie się z ofiarą wypadku i jego matką:

— Drzwi mieszkania otworzyła mi kobieta. Zostałem zaprowadzony do łazienki, gdzie leżał chłopiec. Dwukrotnie pytałem: „Co się stało chłopcu?", ale nic bliższego ta pani nie powiedziała. Chłopiec ubrany w podkoszulek, był lekko skrwawiony. Rany wydawały się powierzchowne i niegroźne. Pytałem matki czym te rany zostały zadane, ale odpowiedziała mi, że nie wie. Pacjenta położyliśmy na nosze i zawieźliśmy do I Kliniki Chirurgicznej Akademii Medycznej w Krakowie.

W czasie obecności w mieszkaniu zauważyłem, że ta kobieta była zaszokowana, zdenerwowana, w pewnym momencie zaczęła płakać, ale zaraz przestała. Jej reakcja była typowa i uzasadniona okolicznościami. Rannym był przecież jej syn...

Mój rozmówca przypomina sobie także rozmowę z młodym pacjentem odbytą w trakcie transportu do szpitala. Rozmowę raczej zdawkową, gdyż wówczas, 20 listopada 1981 roku, nikt nie mógł przewidzieć, że wszystko zakończy się tragicznym finałem.

— W karetce — mówi lekarz — rozmawiałem z chłopcem na temat tego, jak się czuje, a także pytałem o powody skaleczenia. Mówił, że miał awanturę z matką, chodziło o sprawy szkolne. Pamiętam, że w trakcie naszej rozmowy chłopiec mówił, że mamusia była bardzo zdenerwowana. W izbie chorych I Kliniki pacjentem zajął się zespół lekarzy.

W trakcie pierwszego badania w klinice potwierdzono wstępne rozpoznanie lekarza pogotowia. U chłopca stwierdzono dwie rany kłute klatki piersiowej i brzucha. Początkowo wszystko wyglądało niegroźnie.

— Pacjent — relacjonuje chirurg Bogusław O. — był w dobrym kontakcie. Powiedział, że nożem pchnęła go matka. Nie podał nam jednak powodu. Klinicznie był w niezłym stanie. Chory miał przyłożone do rany opatrunki, które przemoczone były krwią. Zdjęliśmy opatrunki — rany nie krwawiły. Chłopiec został skierowany na rentgen w celu wykonania zdjęć klatki piersiowej i brzucha. W trakcie wykonywania zdjęć chłopiec zasłabł. Nastąpił spadek ciśnienia i bezdech. Wykonaliśmy sztuczne oddychanie metodą usta—usta. Po 20 sekundach na-

stąpił oddech własny. Chory został zakwalifikowany w trybie nagłym do zabiegu.

Wypadki biegną teraz szybko. O godzinie 23,15 gotowa jest sala operacyjna. Lekarze zajmują miejsca przy stole, anestezjolog kontroluje aparaturę. Pierwsze cięcia skalpela.

Chirurdzy stwierdzają przebicie klatki piersiowej z IV przestrzeni międzyżebrowej do jamy opłucnej. Z rany wydobywa się duża ilość krwi z powietrzem. Uszkodzony jest worek osierdziowy. Lekarze przystępują do zaszycia rany w mięśniu sercowym.

Koło północy w szpitalu zjawia się matka chłopca. Przychodzi do izby przyjęć.

— Pytała o stan swojego syna Marka — przypomina sobie dzisiaj lekarz Waldemar J. — powiedziałem jej, że w tej chwili trwa operacja, że może się wszystkiego dowiedzieć później albo następnego dnia. Kobieta była pobudzona ruchowo i odniosłem wrażenie, że albo jest zdenerwowana i przejęta tym co się stało, albo jest pod wpływem alkoholu. Przyznać jednak muszę, że alkoholu od niej nie czułem. Nie chciałem z nią rozmawiać o szczegółach stanu zdrowia Marka, bo było mi przykro, gdyż zdawałem sobie sprawę z tego, że szanse na uratowanie syna tej kobiety są bardzo małe, wręcz znikome.

Jest godzina 0,30. W sali operacyjnej sytuacja staje się krytyczna. Szybko padające komendy lekarzy, zdecydowane ruchy siostry instrumentariuszki. Anestezjolog obserwuje wskaźniki przyrządów.

Lekarze już wiedzę, że u pacjenta wystąpiło zatrzymanie krążenia krwi. Natychmiastowa decyzja o podjęciu akcji reanimacyjnej. Odbywa się bezpośredni masaż serca.

Mijają minuty. Zegar wskazuje godzinę 0,47. Występuje niebezpieczne migotanie komór serca.

W dalszym ciągu trwa reanimacja. Szanse jej powodzenia stają się coraz mniejsze. W końcu przychodzi ten moment, że wszelkie dalsze wysiłki nie mają już żadnego sensu. O godzinie 1.15 lekarze uznają chłopca za zmarłego.

Milicja

Komenda Dzielnicowa MO Kraków-Podgórze o zdarzeniu przy ul. Sarmackiej została zawiadomiona przez lekarza pogotowia. Lekarz zgodnie ze swoimi obowiązkami poinformował organa ścigania o przewiezieniu do kliniki pacjenta z ranami kłutymi. Na ul. Sarmacką wysłana została ekipa dochodzeniowo-śledcza.

— Na miejscu — twierdzi inspektor — zastałem matkę chłopca. Kobieta powiedziała mi, że o godzinie 19.40 wrócił do domu jej syn Marek, który nie chciał się przyznać do tego, gdzie przebywał. Ponieważ chłopiec od kilku dni chodził na wagary, matka była na niego bardzo zła. Wówczas to Marek chcąc pokazać, że nikogo się nie boi, przyniósł z kuchni do pokoju dwa noże, z których jeden na oczach matki złamał. Fakt ten bardzo ją zdenerwował, tak że wyrwała chłopcu z ręki noże i jednym z nich kilkakrotnie ugodziła syna w klatkę piersiową, w wyniku czego Marek wybiegł do przedpokoju, gdzie upadł na podłogę. Kobieta powiedziała mi, że uderzyła syna dlatego, iż od dłuższego czasu bardzo ją denerwował swym zachowaniem, opuszczaniem lekcji i swoją arogancją. Widząc, że syn upadł na podłogę i z klatki piersiowej cieknie mu krew, matka usiłowała ratować Marka przenosząc go do łazienki, gdzie zaczęła mu robić okłady z zimnej wody. W międzyczasie zawiadomiła pogotowie ratunkowe.

Inspektor Andrzej J. po rozmowie z matką sporządził notatkę służbową, w której napisał m. in.: ...w chwili obecnej kobieta nie umie wytłumaczyć swojego postępowania podając, że dostała jakiegoś szału i straciła kontrolę nad swoim zachowaniem. Twierdzi jednak, że chciała chyba zrobić synowi fizyczną krzywdę i w ten sposób zmusić go do zrozumienia, iż bardzo źle postępuje"

W mieszkaniu na ul. Sarmackiej trwają oględziny miejsca zdarzenia. W ich trakcie ekipa otrzymuje informację o śmierci Marka. W tej sytuacji matka chłopca zostaje zatrzymana do dyspozycji prokuratora.

Oświadczenie

Noc. Pokój w Komendzie Dzielnicowej MO. Kobieta sięga po kartki papieru i nie przynaglana przez nikogo pisze swoje pierwsze oświadczenie — wyznanie. Wyznanie matki, która przed kilkudziesięcioma minutami straciła syna.

...Wyszłam za mąż mając 21 lat i będąc na studiach. Urodził się nam syn Marek, z czego wraz z mężem byliśmy bardzo zadowoleni i szczęśliwi. Niestety mój mąż umarł, gdy Marek miał dwa i pół roku. W tym czasie skończyłam już studia i zaczęłam pracować. Wychowywałam syna sama. Marek był początkowo dzieckiem dobrym, problemy zaczęły się dopiero w momencie gdy zaczął uczęszczać do szkoły. Wydawało mi się, że nie potrafi długo skupić uwagi na przedmiocie, którego się uczy. Przechodził jednak z klasy do klasy bez powtarzania. Dopiero od klasy piątej z Markiem zaczęły się prawdziwe problemy. Nie chciało mu się uczyć, okłamywał mnie, nie przychodził do domu o podanej godzi-

nie. Nie wiem, czym to było spowodowane, może wiekiem, a może tym, że w owym czasie wyszłam po raz drugi za mąż. Tym zamążpójściem chciałam między innymi zapewnić Markowi tzw. „męską opiekę". Mój mąż nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei, a wręcz okazał się nieodpowiednim partnerem dla Marka. Nie potrafił jakoś dotrzeć do mojego syna i od tego momentu problemy wychowawcze pogłębiły się. Cały ciężar wychowania syna był na moich barkach. Jako kobieta, przyznam szczerze, nie rozumiałam różnych wyskoków chłopca, w rodzaju chodzenia na wagary, lekceważenia nauki, przebywania w towarzystwie kolegów, którzy wyznawali zasadę, że nie trzeba się uczyć, aby dobrze sobie żyć. Dla mnie zachowanie Marka było przyczyną stałego zmartwienia. Ponieważ syn uznawał moje przekonywanie go o złym postępowaniu za „ględzenie" dochodziło między nami do kłótni, ale nigdy nie były one połączone z rękoczynami.

W ostatnim roku przeprowadziłam z Markiem kilka poważnych rozmów, dotyczących jego przyszłości. Pytałam go, co on na ten temat myśli, co chciałby robić po zakończeniu nauki itp. Zaproponowałam mu, aby po ukończeniu szkoły podstawowej zapisał się do liceum ogólnokształcącego. Miałam nadzieję, że będzie się starał nadrobić zaległości w nauce, ale szybko przekonałam się, że synowi nadal nie chce się uczyć. Byłąm zrozpaczona, postarałam się dla Marka o korepetycje, ale okazało się, że nawet z przedmiotów, z których miał pomoc otrzymał oceny niedostateczne. W takiej sytuacji poszłam do szkoły usiłując dociec, czy i tym razem nie chodzi o wagary. Nie było już mowy o jakimś porozumieniu matka—syn, ponieważ Marek przyparty do muru dowodami nieuczęszczania na lekcje, stawał się

agresywny a nawet ordynarny. Straszył mnie, że ucieknie z domu.

Ostatnia nieszczęśliwa kłótnia miała miejsce w dniu wczorajszym wieczorem. Sądzę, że gdyby nie było poprzednich scysji oraz poczucia bezkarności syna, nie byłoby też jego naprawdę ordynarnego zachowania wobec mnie, zapewne nie byłabym w stanie zrobić tego, co zrobiłam. W pewnym momencie uderzyło mnie to, że syn po którymś tam razie ordynarnego zwracania się do mnie na zasadzie: co mi zrobisz, zachowuje się tak, jakby do takiego zachowania miał pełne prawo. Uważał zapewne, że ja niczego nie jestem mu w stanie zabronić, bo jestem słaba fizycznie, a w ogóle moje gadanie, to takie „babskie gadanie", na które nie dość, że nie trzeba zwracać uwagi, to trzeba je po prostu po „chłopsku" uciąć. Stąd więc chyba wzięła się ta parada mojego syna z nożami wziętymi z kuchni. Przyszedł z tymi nożami do pokoju, w którym siedziałam i najwyraźniej groził mi.

Jestem przekonana, że ten podtekst „okazania siły" wyprowadził mnie z równowagi. Chciałam wyrwać mu te noże, ale Marek przyjął postawę wyczekującą na cios, co już kompletnie mnie zdenerwowało. Chyba raz go uderzyłem, ale on wówczas złamał jeden z noży i znowu się postawił. Niestety, ogarnęła mnie wtedy ślepa wściekłość i nie patrząc na nic wyrwałam mu te noże i uderzyłam. Syn był zdumiony szybkością ciosów i nie zdążył się zasłonić, ani obronić, czego naprawdę bardzo żałuję. Oczywiście, opamiętałam się szybko, wzięłam syna do łazienki i oblewałam go zimną wodą. Nie wiedziałam jeszcze wówczas o jego ranach, gdy się zorientowałam co się rzeczywiście stało, natychmiast pobiegłam do telefonu zadzwonić po pogotowie. Potem przykładałam zimny ręcznik do ran syna, aby

w ten sposób zatamować cieknącą krew i ulżyć Markowi.

Zjawiło się pogotowie ratunkowe. Wytłumaczyłam lekarzowi co zrobiłam, a potem pojechałam do szpitala, gdzie dowiedziałam się, że rany syna są poważne. Ciągle miałam cichą nadzieję, że te rany są tylko powierzchowne i wszystko zakończy się bez większych komplikacji. W szpitalu powiedziano mi także, że syn jest na sali operacyjnej i trwa zabieg. Martwiłam się o pozostawioną w domu 4-letnią córeczkę i dlatego wróciłam do mieszkania, czekając tam na przyjazd milicji.

Nie jestem w stanie określić ile razy uderzyłam Marka nożem i w jakie miejsce ciała. Obecnie bardzo żałuję tego co zrobiłam.

Oświadczenie niniejsze składam dobrowolnie, aby wykazać problem jaki miałam w życiu, związany z wychowaniem mojego syna oraz stan do jakiego mnie w końcu doprowadził. Ja nie chciałam pozbawić go życia, ale jedynie skarcić go, czy też wyrządzić mu fizyczny ból, tak jak się to dzieje przy „laniu". Przez to, że nigdy nie biłam Marka wyszło mi tak strasznie.

Sekcja

Na sekcyjnym stole w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Krakowie leżą zwłoki chłopca. Już po męsku wyrośniętego (wzrost 177 cm), ale przecież po chłopięcemu chudego, z uspokojoną przez śmierć twarzą. Dziecięcą jeszcze prawie, nie zaciemnioną pierwszym zarostem.

— Jego ojciec — mówi pani M., dochodząca gosposia — był ze szlacheckiej rodziny i dlatego Ma-

rek nie wyglądał na takiego prostego chłopaka. Wyglądał na coś o wiele bardziej lepszego.

Wyglądał, być może. Ale jednak teraz, gdy leży bezradnie nagi, lekarze przeprowadzający sekcję na tym młodym ciele, obok ran pochodzących od ciosów zadanych nożem i penetracji chirurgicznego skalpela odkrywają ślady innych, licznych nacięć. To charakterystyczne „sznity", które mogą być dowodem przynależności Marka do gitowców.

Uprzedzając fakty powiedzmy, że w trakcie śledztwa nie znaleziono przekonywających argumentów uprawdopodobniających tezę o ścisłych związkach Marka z gitowcami. Te nacięcia na skórze były więc jedynie przejawem specyficznie pojmowanej mody lub też chęcią imponowania rówieśnikom powiązaniami z młodzieżową subkulturą.

Sekcja jest rutynowa i nie wnosi do sprawy nic nowego. Potwierdza jedynie ustalenia lekarzy I Kliniki Chirurgicznej Akademii Medycznej w Krakowie — szpitala, do którego 20 listopada 1981 roku karetka pogotowia przywiozła Marka.

Chłopiec otrzymał dwa ciosy nożem. Pierwszy cios zranił serce i jego uszkodzenie spowodowało zgon, natomiast cios drugi przyniósł powierzchowną ranę brzucha nie stanowiącą zagrożenia dla życia.

Protokół sekcji wędruje do prokuratury.

Aresztowanie

Jest późny ranek 21 listopada 1981 roku. Budynek Prokuratury Rejonowej Dzielnicy Kraków-Podgórze. Prokurator Tadeusz Pyzik przedstawia matce Marka, zarzut, iż ugodziła dwukrotnie nożem syna. W następstwie tego nastąpiła śmierć chłopca. Przestępstwo popełnione, zdaniem prokuratora, wy-

czerpuje znamiona artykułu 148 paragraf 1 kodeksu karnego.

Prokurator Pyzik wydaje także postanowienie o tymczasowym aresztowaniu podejrzanej. Sporządzony zostaje nakaz przyjęcia kobiety do Aresztu Śledczego w Myślenicach.

Kobieta obojętnie przygląda się prokuratorskiej pracy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zajęta jest swoimi myślami i zupełnie obojętne są dla niej jej dalsze losy. Zaledwie przed kilkunastoma godzinami na stole operacyjnym umarł jej syn Marek...

Ojczym

Nie korzysta z przysługującego mu prawa odmowy zeznań. Protokół przesłuchania zapełnia się danymi personalnymi. 36 lat, wykształcenie średnie techniczne, przedstawiciel londyńskiej firmy turystycznej w Polsce. Stały paszport, stosunkowo wysokie zarobki.

Relacjonuje:

— Związek małżeński zawarłem 6 czerwca 1977 roku. Z pierwszego małżeństwa mojej żony pozostał syn. Po pewnym czasie zaczęliśmy mieć z Markiem kłopoty wychowawcze. Syn związał się z grupą chłopaków dokonujących drobnych kradzieży. W klasie szóstej Markowi na koniec roku groziły trzy oceny niedostateczne. Przenieśliśmy syna do innej szkoły i dzięki temu otrzymał promocję do klasy siódmej. Zaczęliśmy dawać Markowi korepetycje. Stwierdzam, że Marek idąc do szkoły był przygotowany z przedmiotów, lecz gdy stawał do odpowiedzi, to okazywało się, że nie potrafi odpowiedzieć na zadawane mu, nawet bardzo proste, pytania. Dlaczego tak się właśnie działo — niestety — do

dzisiaj nie wiem i nie potrafię także tego sobie racjonalnie wytłumaczyć.

W miesiącach letnich 1980 roku Marek został wplątany w sprawę okradania wagonów na terenie stacji Kraków-Płaszów. W Sądzie dla Nieletnich został jednak uniewinniony, gdyż podejrzenia w stosunku do niego nie potwierdziły się. Teraz muszę przyznać, że Marek znał wszystkie okoliczności związane z tymi kradzieżami, wiedział kto, kiedy i co kradł, lecz ani w Sądzie, a także w domu nie przyznał się do niczego. W trakcie rozmów syn czasem wypowiadał się, że dobrze wie o wielu sprawach i wielu rzeczach, ale choćby go torturowali, to on i tak o niczym nie powie i nikogo nigdy nie zdradzi. W tym właśnie czasie Marek zaczął nacinać sobie żyletką ręce.

Po ukończeniu szkoły podstawowej syn został przyjęty do liceum ogólnokształcącego. Zaczął nagle interesować się muzyką rozrywkową i te jego nowe zainteresowania wspólnie z żoną uważaliśmy za dobry prognostyk na przyszłość. Zaczął również wyrabiać tężyznę fizyczną. Uczęszczał na kursy dżudo, a potem także na kursy karate. Twierdził, że w życiu musi być silnym człowiekiem. Nigdy nie akceptował mnie jako ojca, chociaż starałem się jak mogłem. Wolał mnie jako starszego kolegę, na co ja z kolei nie chciałem się zgodzić. Być może, że ta podjęta przez Marka nauka karate i dżudo kiedyś miała się obrócić przede wszystkim przeciwko mnie...

Kiedy urodziła się nasza córeczka Ania, Marek cieszył się z tego powodu. Muszę przyznać, że bardzo kochał siostrę, ale traktował ją raczej na zasadzie żywej zabawki. Nigdy z żoną nie robiliśmy żadnych różnic między dziećmi. Z każdej zagranicznej podróży przywoziliśmy prezenty równo obdzielając

nimi nasze dzieci, a tak się składało, że ani Markowi, ani naszej córce naprawdę niewiele mogło brakować.

Syn miał do nas pretensje, że do domu musi wracać najpóźniej o godzinie dwudziestej. Twierdził, że inni jego koledzy przychodzą o późnych godzinach nocnych i wszystko jest w porządku. Oczywiście, w żadnym przypadku nie godziliśmy się na takie późne powroty Marka. 31 października 1981 roku Marek prosił o zezwolenie na pójście do kina na godzinę osiemnastą. Wyraziłem zgodę tylko na seans rozpoczynający się o godzinie szesnastej. Niestety, tego dnia Marek wrócił do domu dopiero po dwudziestej pierwszej. Stwierdziłem, że znajduje się w stanie upojenia alkoholowego. Nie wytrzymałem wówczas nerwowo i kilkakrotnie uderzyłem Marka w twarz. Następnie zabrałem go do pokoju i tam jeszcze uderzyłem go kilkakrotnie linką gumową po plecach. Opanowałem się jednak w końcu, kazałem mu się położyć do łóżka mówiąc, że rano ze sobą porozmawiamy, bo sprawa była przecież bardzo poważna.

6 listopada 1981 roku powróciliśmy z żoną z Warszawy. Okazało się, że w trakcie naszej nieobecności Marek nie chodził do szkoły. Żona rozpoczęła z synem rozmowę, do której nie chciałem się początkowo mieszać. Zareagowałem i wszedłem do pokoju syna dopiero wówczas, gdy usłyszałem, że Marek krzyczy na swoją matkę używając przy tym słów naprawdę wulgarnych. W pokoju zobaczyłem, że Marek stoi przed matką i trzyma w ręce żyletkę. Był mocno wzburzony. Kategorycznym tonem zażądałem, aby oddał mi ostrze. Marek ociągał się przez dłuższą chwilę, ale w końcu przełamał się i położył żyletkę na biurku.

16 listopada ponownie wyjechałem do Warszawy,

gdyż wymagały tego moje obowiązki służbowe. 21 listopada wróciłem do hotelu dopiero w nocy. W recepcji czekała na mnie karteczka wzywająca do natychmiastowego zatelefonowania do domu, do Krakowa. Natychmiast poprosiłem o szybkie połączenie. Słuchawkę podniósł funkcjonariusz MO. Nakazał mi możliwie szybki powrót do Krakowa, bo wydarzyła się tragedia rodzinna. Na moje nerwowe pytanie: co się stało? — milicjant odpowiedział krótko: pańska żona zabiła syna...

Przerażony otrzymaną informacją opuściłem Warszawę i zjawiłem się w domu.

Zazdrc

Z biegiem czasu przebywająca w areszcie matka odtwarza wszystkie najdrobniejsze szczegóły związane z wychowaniem Marka. Szuka, ciągle szuka przyczyn, które sprawiły, że jej syn stawał się coraz bardziej trudnym dzieckiem. Naturalną koleją rzeczy pojawiało się pytanie: kto, kiedy i dlaczego zawinił?

Pamięta dokładnie ten dzień. Było to w kilka lat od daty zawarcia drugiego małżeństwa. Marek w przypływie rzadkiej chwili szczerości powiedział:

— Mamusiu, jak ja się modliłem, żaby on nie został twoim mężem i żebyś ty była tylko ze mną.

Była przerażona tym wyznaniem. Mężowi nie mogła nic zarzucić, związek był więcej niż udany, jednak dorosły mężczyzna nie potrafił znaleźć wspólnego języka z małym mężczyzną po chłopięcemu zazdrosnym o swoją matkę, nigdy nie akceptującym ojczyma jako ojca. Co najwyżej jedynie jako starszego i bardziej doświadczonego kumpla.

Stała między nimi, próbowała ich godzić. Nie-

skutecznie jednak. Gdy szła do szpitala, by urodzić drugie dziecko nie wiedziała, bo skąd mogła wiedzieć, że teściowa powie Markowi najokrutniejsze ze zdań:

— Twoja mama będzie teraz miała małe dziecko i ciebie nie będzie już tak kochała jak to było do tej pory. To małe będzie dla mamy najważniejsze...

Rodził się chłopięcy kompleks. Marek kilkakrotnie podejmował próby ucieczki z domu twierdząc, że źle się w nim czuje. Naprawdę nigdy nie uciekł, gdyż wołany przez matkę zawsze zawracał z ulicy.

Nie, nigdy nie robiła żadnej różnicy między nim, a córeczką. Zawsze starała się tak postępować, aby Marek nigdy nie czuł się dzieckiem gorszym, niechcianym czy też zaniedbanym. Właśnie dlatego, że w domu był ojczym, że urodziła się Ania. Chłopiec wiedział, że ma rentę po ojcu, wiedział także — o czym stale zapewniała go matka — że nikt nie ma prawa niczego mu wypominać. Gdy opłacała korepetycje Marka, sama także udzielała lekcji innym dzieciom, aby w ten sposób pokryć koszt prywatnych nauczycieli. Często chodziła do szkoły, sprawdzała wyniki syna w nauce, poszła z nim do psychologa i skrupulatnie stosowała się do udzielonych wskazówek. Wszystkie wysiłki okazywały się jednak bezskuteczne. Marek dalej się nie uczył, palił papierosy, zaczął pić alkohol, żyletką nacinał sobie skórę, w stosunku do matki stawał się coraz bardziej wulgarny, a bywało że i agresywny.

— Moje starania wychowawcze nie przynosiły żadnego rezultatu. Przegrywałam. Tylko ja wiem ile przez Marka przelałam łez i ile nie przespałam nocy.

Opinie

Obraz Marka byłby jednoznaczny, gdyby nie te dwie opinie. Tak bardzo różne od siebie, chociaż sporządzone przez pedagogów. Jedna pochodzi od wychowawcy chłopca ze szkoły podstawowej — druga od wychowawczyni z liceum ogólnokształcącego.

Najpierw ta pierwsza:

...przyszedł do naszej szkoły w roku szkolnym 1979/80 do klasy siódmej przedstawiając świadectwo promocyjne z trzema ocenami niedostatecznymi i obniżoną oceną ze sprawowania. W klasie ósmej osiągnął bardzo słabe wyniki w nauce, natomiast zachowanie jego było wysoce aroganckie nie tylko w stosunku do kolegów, ale także w stosunku do nauczycieli uczących w klasie. Bezczelność i pewność siebie tego chłopaka przekraczała wszelkie granice przyzwoitości. Nic kompletnie nie robił sobie z uwag tak ze strony matki, jak i nauczycieli. Na potwierdzenie tego niech świadczy fakt, że uczeń ten miał aż 22 uwagi wpisane do dziennika lekcyjnego, a wszystkie one dotyczyły skandalicznego wręcz zachowania się na lekcjach. Poza tym uczeń miał skłonności do palenia papierosów i picia alkoholu.

Należy tu nadmienić, że opiekę wychowawczą nad uczniem sprawowała matka, która nie miała najmniejszego bodaj autorytetu u tego wykolejonego chłopca, chociaż robiła wszystko, by jej syn ukończył szkołę podstawową. Jej częste kontakty z wychowawcą klasy nie dawały jednak żadnych rezultatów. Na ucznia oddziaływali natomiast starsi koledzy z marginesu społecznego. Mieli na niego wyraźny, duży wpływ, imponowali mu stosunkiem do życia, pieniędzmi, które nie wiadomo w jaki sposób zdobywali.

I opinia ze szkoły średniej:

...Marek w dniu 1 września 1981 roku rozpoczął naukę w klasie pierwszej naszego liceum ogólnokształcącego. Przez okres 3 miesięcy nauki nie stwarzał żadnych trudności wychowawczych. Był spokojny, koleżeński, lubiany przez młodzież, opiekuńczy do kolegów słabszych fizycznie. W przypadku drobnych uchybień prawidłowo reagował na czynione przez wychowawcę uwagi. Uczęszczał do szkoły regularnie. W wymienionym okresie opuścił w sumie 3 dni bez usprawiedliwienia. Mimo że mieszkał daleko od szkoły, na ogół nie spóźniał się. Był uczniem inteligentnym, dość zdolnym. Miał słabe wyniki w nauce, co mogło być spowodowane typowymi dla uczniów klas pierwszych trudnościami adaptacyjnymi w szkole typu licealnego oraz pewnymi zaległościami ze szkoły podstawowej, do której Marek uczęszczał. Matka ucznia po otrzymaniu informacji ode mnie o słabych wynikach w nauce osiąganych przez Marka natychmiast zareagowała organizując synowi korepetycje.

— Pani opinia o Marku odbiega od charakterystyk wystawionych temu chłopcu przez inne osoby... — mówię do wychowawczyni gdy spotykamy się w szkole, do której przez trzy miesiące uczęszczał Marek.

— Opinię — słyszę w odpowiedzi — sporządziłam na prośbę prokuratury. Wystawiłam ją zgodnie z moją wiedzą o uczniu i zgodnie ze swoim sumieniem.

— Czy możliwe jest, aby chłopiec w tak krótkim czasie zmienił się radykalnie? W szkole podstawowej uważany był za „najgorszego" — w liceum niczym negatywnym się nie wyróżniał. Czyżby tak umiejętnie maskował się?

— Sądzę, że o maskowaniu nie może być mowy.

Być może Markowi odpowiadała inna, bardziej dorosła atmosfera szkoły średniej, inny sposób traktowania uczniów przez nauczycieli.

— Pani znała Marka krótko...

— Tak, krótko, ale ten okres naszej znajomości w niczym nie zmienia mojego przekonania o tym, że Marek był dobrym chłopcem. Z sympatią wyrażali się o Marku także jego koledzy.

— Przed, czy po jego śmierci?

— Przed, ale także i po całej tej tragedii. W listopadzie 1981 roku ktoś zadzwonił do szkoły i powiedział, że Marek nie żyje. Po upewnieniu się, że jest to prawda weszłam do klasy i przekazałam tę smutną wiadomość moim podopiecznym nie podając jednak przyczyn śmierci ucznia. Od koleżanek i kolegów Marka dowiedziałam się potem, że Marek nigdy nie mówił, iż ma „fajnych starych" lecz tylko bardzo dobrą matkę. Z rozmów z uczniami wiem także, że chłopiec o swoim ojcu wyrażał się jednak pozytywnie i twierdził, że często z zagranicznych wyjazdów przywozi mu prezenty.

Korepetytorka

Maria K. przez pewien okres udzielała Markowi korepetycji z matematyki. Spędziła z chłopcem wiele godzin, odbyła wiele rozmów. Z wahaniem zgadza się na rozmowę z reporterem. W końcu mówi o swoich kontaktach z Markiem, o swoich spostrzeżeniach.

— Markowi udzielałam korepetycji w swoim mieszkaniu. Początkowo przywoziła chłopca do mnie jego matka, po jakimś czasie Marek zaczął przychodzić sam. Według mnie Marek był dzieckiem, które było zamknięte w sobie. Nigdy nie zwierzał mi

się ze swoich zmartwień czy kłopotów. Nieraz usiłowałam przeniknąć do niego, skrócić dystans, by w jakiś sposób spowodować go do zwierzeń. Nigdy mnie się to nie udało.

— Jaki był jego stosunek do nauki?

— Muszę przyznać że Marek regularnie chodził na wyznaczone korepetycje. Nie opuścił żadnej lekcji. W naukę wkładał raz więcej, a raz mniej wysiłku. Już na początku uczęszczania do liceum załamał go fakt otrzymania oceny niedostatecznej na klasówce z matematyki. Powiedział mi, że ocena jest niesprawiedliwa, gdyż prawidłowo rozwiązał wszystkie zadania. Okazało się jednak, że mnie okłamał. Zadań nie rozwiązał.

— Pani kontakty nie ograniczały się tylko do spotkań z Markiem. Znała także pani jego matkę i ojczyma...

— Marek na temat swojej matki prawie nigdy nie mówił, nie mówił także nic o swoim ojczymie. Wiem jednak, że Marek kiedy się uczył w swoim pokoju i gdy matka do tego pokoju wchodziła, to ją wyrzucał. Matka twierdziła, że nie wie co się z Markiem dzieje, że zaczął pod jej adresem używać wulgarnych słów. Wiem również od matki, że w mieszkaniu mieli założony podsłuch do telefonu. Chodziło o to, by rodzice wiedzieli z kim Marek rozmawia i o czym. W trakcie jednej z takich rozmów podsłuchano, że Marek umawiał się z kimś na zbiorową bójkę. Miała się odbyć, jak pamiętam, w którąś z niedziel. Powiadomiła mnie o tym matka Marka i uzgodniłyśmy, że tego dnia pójdzie on ze mną na działkę. Taki spacer zaproponowałam chłopcu i ku mojemu zaskoczeniu, bo sądziłam że Marek będzie oponował, zgodził się bez najmniejszych sprzeciwów. Muszę powiedzieć również, że ilekroć prosiłam Marka o wykonanie jakiejś pracy, o jakąś

pomoc, zawsze wykonywał wszystko bez żadnych oporów, a wręcz nawet chętnie.

— A papierosy, alkohol?

— O tym, że Marek zaczyna czasem pić wiedziałam od jego matki, o paleniu papierosów sam mi powiedział. Wiem, że bardzo często z tego właśnie powodu dochodziło do sprzeczek między synem a matką. Opowiadała mi ona, że gdy chciała uderzyć syna, nie pozwalał na to. Stawał się agresywny, chwytał ją za rękę. Ten chłopiec uważał, że jest niekochany. Była to nieprawda, zwykłe chłopięce urojenie. Według mnie ta kobieta bardziej kochała Marka niż młodszą córkę Anię. Nieraz radziła mi się, w jaki sposób przekonać syna, że jest przez nią kochany. Robiła w tej sprawie wiele. Próbowała przeprowadzać serdeczne rozmowy, nieraz kupowała mu więcej, niż chłopak rzeczywiście potrzebował, dawała inne dowody matczynej miłości.

— Czy pani ma swoją hipotezę przyczyn tragedii w dniu 20 listopada?

— Nie potrafię powiedzieć co rzeczywiście było powodem tego nieszczęścia. Nie znam, nie potrafię podać żadnego motywu, nie wiem jak i czym to wszystko wytłumaczyć. To był chyba splot fatalnych okoliczności.

Testament

Urzędowy arkusz papieru. Nadruk: Akt notarialny. Krótka, sucha prawnicza treść, z której wynika, że 29 kwietnia 1977 roku w Państwowym Biurze Notarialnym w Krakowie sporządzony został testament, mocą którego jedynym spadkobiercą majątku matki po jej śmierci ma zostać Marek. Wartość tego spadku oszacowano na 200 tysięcy złotych.

Ważna jest data tego dokumentu. Rozporządzenie woli sporządzone zostało półtora miesiąca przed ślubem matki Marka z Andrzejem G. Zgodnie z zapisem testamentowym przyszły mąż wyłączony został ze spadkobrania.

Konsternacja

Wszyscy mówią o niej: spokojna, opanowana, nadzwyczaj kulturalna.

— Nasza pani — rozżali się gosposia — wszystko co tylko mogła, to robiła dla Marka, ale on ojców to wcale nie szanował. Ja też mam dzieci, ale nie widziałam jeszcze czegoś takiego. On o pani mówił „stara". Pani się dużo przy nim wycierpiała, a starała się przecież o niego jak nikt. Nigdy na niego nie krzyczała, nie biła go, nigdy nie mówiła brzydkich słów, a on chociaż dzieckiem był przecież jeszcze, już klął wulgarnie, palił papierosy i myślę, że też brał narkotyki lub jakieś inne paskudztwa. Wszędzie było mu jakoś źle. To był dziwny chłopak chociaż ze strony ojca rodzinę miał ze szlachty.

O matce Marka nie udało mi się usłyszeć negatywnej opinii. Sąsiedzi z podziwem mówili o opiece tej kobiety nad ciężko chorymi, przykutymi do łóżka rodzicami, o jej bezgranicznym poświęceniu. Kiedy więc teraz szukają przyczyn nagannego zachowania się Marka w stosunku do matki, usiłują wszystko tłumaczyć sobie faktem tęsknoty chłopca za prawdziwym ojcem i kilkakrotnymi próbami samobójczymi babci Marka, których był świadkiem.

— Raz — powie mi sąsiadka — gdy Marek miał zaledwie 7 lat odcinał swoją babkę, gdy ta powiesiła się. Babkę odratowali lekarze, ale przecież takie małe dziecko nie mogło o czymś takim zapom-

nieć. Stary by nie zapomniał, a co dopiero ledwo co odrosły od ziemi chłopiec. Może przez tę babkę i to jej wieszanie się Marek był potem taki jakiś dziwny, zamknięty w sobie, mniej wesoły niż inne dzieci?

Przytoczona relacja mówi o faktach potwierdzonych zarówno podczas śledztwa jak i przewodu sądowego. Rzeczywiście, babka Marka podejmowała próby samobójcze, rzeczywiście, siedmioletni chłopiec jako pierwszy spieszył z pomocą. Babcię kochał, po latach jednak nigdy nie wracał do wspomnień z dzieciństwa, nigdy z nikim na ten temat nie chciał rozmawiać. Trudno przesądzać, czy na rodzinie ciążyły uwarunkowania genetyczne, trudno jednak nie zgodzić się z twierdzeniem, iż przykre doświadczenia chłopca musiały mieć wpływ na jego kształtującą się psychikę, stopień wrażliwości, stosunek do innych ludzi.

Opinia z miejsca pracy matki Marka pełna jest superlatywów. Znakomite kwalifikacje zawodowe, zdyscyplinowanie, koleżeńskość. Szybkie i zasłużone awanse.

Jest zatrudniona — czytamy w stosownym dokumencie — *w PBP „Orbis" Oddział Zagranicznej Obsługi Turystycznej od dnia 1 marca 1969 roku. Posiada wyższe wykształcenie i znajomość języków angielskiego i serbochorwackiego w mowie i piśmie.*

Po zdaniu egzaminu stażowego w roku 1970 została awansowana na referenta turystycznego, kolejne awanse uzyskiwała w roku 1971, 1972, 1973 i 1974. W tym ostatnim roku z uwagi na wysokie kwalifikacje zawodowe powierzono jej bardzo trudny odcinek pracy, to jest organizację kongresów. W roku 1976 otrzymała awans na samodzielnego referenta do spraw turystyki. Po urodzeniu dziecka przebywała na bezpłatnym urlopie przeznaczonym

na opiekę nad małym dzieckiem od 20 maja 1978 roku do 3 maja 1981 roku.

Posiada wysokie kwalifikacje zawodowe, jest pracownikiem w pełni samodzielnym, potrafi i podejmuje samodzielnie właściwe decyzje i z powierzonych obowiązków wywiązuje się bardzo dobrze. Jest referentem ambitnym i odpowiedzialnym, ponadto charakteryzuje ją duża kultura osobista, która przejawia się zarówno w kontaktach z klientami, jak też w stosunkach z pracownikami oddziału. Przyjmuje do wykonania wszystkie polecenia przełożonych — nawet te, które wychodzą poza formalny zakres jej czynności służbowych. W. kontaktach z cudzoziemcami kieruje się zawsze interesem naszego przedsiębiorstwa.

Z uwagi na kwalifikacje zawodowe oraz cechy charakteru przewidziana była do kolejnego awansu na kierownika sekcji.

Opinia z pedantyczną dokładnością wylicza kolejne szczeble kariery zawodowej. Opinia nie mówi jednak o tym, że samodzielna referentka od spraw organizacji kongresów, aby dobrze wywiązać się ze swoich obowiązków musiała często rezygnować ze swojego wolnego czasu. Nie mogła także liczyć na systematyczną pomoc męża, gdyż częściej przebywał w Warszawie i za granicą niż w Krakowie. Gdzieś załamały się bliskie związki podrastającego syna z zapracowaną matką. Dopiero dramat uwypuklił wszystkie nabrzmiałe konflikty rodziny.

Kiedy współpracownicy dowiedzieli się o tragicznym wypadku nikt nie chciał wierzyć w to, że ciosy nożem mogła zadać synowi właśnie pani magister.

— W biurze zapanowała konsternacja — opowiada jedna z koleżanek. — Potem, gdy już trochę ochłonęliśmy, to bardzo jej współczuliśmy. Domyślaliśmy się jaką ona przeżywa straszną tragedię.

Przecież tak bardzo kochała swojego Marka, tyle mu poświęciła.

— Znam ją — dodaje Halina B. — od momentu, od którego zaczęła u nas pracę. Była powszechnie lubiana i szanowana. To jedna z tych osób, do której zwróciłabym się ze swoimi problemami. Spokojna, zrównoważona, dokładna i odpowiedzialna w pracy. Potrafiła być wierną swoim przekonaniom, chociaż nie zawsze jej się to opłacało. Nie przynosiła swoich rodzinnych problemów do pracy, nie opowiadała o swoich sprawach. Należała do tych ludzi, którzy są dobrymi słuchaczami dla innych, ale o sobie mówią rzadko.

Postanowiłam odwiedzić ją w więzieniu w Myślenicach. Koleżanki i koledzy kupili jej kwiaty i słodycze, starając się aby były właśnie te, które szczególnie lubi. Na miejscu zobaczyłam inną osobę niż znałam. To była tylko fasada, pusta w środku, tak jakby się coś gwałtownie wypaliło.

Wątpliwości

Jak odtworzyć tych kilka brzemiennych w skutki chwil, skoro matka Marka po pewnym czasie nie potrafi już uporządkować chronologii słów, które wówczas padły, gestów i ruchów w tym krótkim starciu chłopięcej pewności siebie i matczynego buntu?

— Oddałabym wszystko, aby się dowiedzieć jak tamtego wieczoru było naprawdę. Jak wszystko po kolei się odbywało, szczegół po szczególe.

Początek i finał pamięta dokładnie, dokładnie może więc relacjonować:

— Syn przyszedł do domu w tym czasie, kiedy normalnie wracał z Warszawy mój mąż, który tam

pracuje i przyjeżdża do Krakowa na soboty i niedziele. Marek nie wiedział, że tego dnia męża nie będzie w domu i czując się oszukanym zdenerwował się na mnie. Potem jednak uspokoił się i poszedł do kuchni jeść kolację. Postanowiłam, pierwszy raz od dłuższego czasu, oglądnąć program telewizyjny. W pokoju byłam razem z córeczką Anią. W pewnym momencie wszedł syn, w rękach trzymał dwa noże, z kompletu, który dostałam od męża. Zbliżał się do mnie i mówił: „no chodź". Miał dziwny wzrok, taki, jaki miał mój ojciec, kiedy nocą trzymając siekierę deklamował wiersze. Ojciec pod koniec swojego życia był człowiekiem ciężko chorym i w trakcie powtarzających się ataków, grożąc rodzinie siekierą, zmuszał bliskich do wysłuchiwania monologów lub recytacji poezji.

Bałam się Marka, ale wiedziałam, że muszę wyrwać mu te noże, bo myślałam o tym, co się z nim stanie, gdy mnie zabije. Przecież on miał tylko mnie, przecież zostałby sam, nikt by mu nie pomógł. Ania ma swojego ojca, a Marek go przecież nie ma...

Przerwa. Pustka.

— Chyba szamotaliśmy się. Nie jestem pewna, czy ja mu te noże wyrwałam, nie wiem czy ja go nimi uderzyłam. Pamiętam jeszcze, że przez chwilę byłam zwinięta w kłębek trzymając się za brzuch, tak jak to czasami człowiek w nerwach robi. Gdy przyszłam do siebie usłyszałam, że z przedpokoju woła mnie syn. Był blady, mówił, że jest mu słabo. Zabrałam go do łazienki, przemyłam wodą twarz. Dopiero po chwili zobaczyłem, że jest ranny. Prosiłam aby nie kaszlał, aby usiadł na sedesie. Przyłożyłam mu ręcznik do rany, i zadzwoniłam po pogotowie ratunkowe. Powiedziałam, że nożem zraniłam syna. Wróciłam do Marka. Był bardzo słaby.

Mówił, że przeprasza, że zrobił to ostatni raz, że już więcej nie będzie, że nie chce umierać...

Biegli

Podczas śledztwa poddana została badaniom psychologicznym i lekarsko-psychiatrycznym. Psycholog kliniczny, mgr Alicja Młynarczyk, w obszernej opinii, poprzedzonej wszechstronnym wywiadem i badaniem testami, będzie twierdzić, że:

...u matki Marka pojawiły się tendencje samobójcze, podłożem których, obok poczucia winy, jest egzystencjalne fiasko, utrata celów życiowych, szans i potrzeb samorealizacji.

(...) Analizując okoliczności w jakich doszło do wydarzeń, o które opiniowana jest podejrzana, trzeba zaznaczyć, że już znacznie wcześniej sprawy związane z wychowaniem syna były dla niej sytuacją trudną, frustracyjną.

(...) Chciała tak, jak chce większość matek, aby jej dziecko było człowiekiem porządnym, z zasadami, posiadającym odpowiednie wykształcenie. Osiągnięcia syna były jej osiągnięciami, miały spełniać rolę probierza jej własnej wartości w roli matki, miały ją w tym utwierdzać, tym bardziej, że praktycznie nie mogła liczyć na pomoc innych.

(...) Z psychologicznego punktu widzenia, sytuacja w jakiej znalazła się opiniowana krytycznego wieczoru, była dla niej sytuacją trudną, zawierającą czynniki powodujące pozbawienie cenionych wartości i wyzwoliła u opiniowanej stan wzmożonej aktywizacji oraz nadmiernie przeciążyła system samoregulacji zachowania.

Psycholog na koniec wielostronicowej opinii stwierdza u badanej zespół depresyjny reaktywny,

przy istnieniu którego: *...należy się liczyć z możliwością wystąpienia próby samobójczej.*"

W podobnym tonie utrzymana jest opinia lekarzy psychiatrów, Bogumiły Rudek-Górki i Stanisława Teleśnickiego, specjalistów, którzy w charakterze biegłych wielokrotnie występowali już w trudnych i skomplikowanych procesach. Lekarze stwierdzają, że matka Marka miała ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem w stopniu znacznie wyczerpującym warunki artykułu 25 paragraf 2 kodeksu karnego, który to artykuł — w przypadku przyjęcia takiej kwalifikacji przez sąd — stanowi istotną okoliczność łagodzącą. Powiedzmy i to, że w konkluzji swojej opinii lekarze piszą: *...z uwagi na obecny stan psychiczny, a szczególnie wystąpienie zespołu depresyjnego, badana wymaga stałej opieki psychiatrycznej i stałego leczenia. Przebywanie w zakładzie karnym może powodować dalsze pogorszenie stanu psychicznego.*

Akt oskarżenia

22 lutego 1982 roku w obecności swoich adwokatów z wyboru, Stanisława Humińskiego i Stanisława Kłysa, matka Marka zostaje zaznajomiona przez prokuratora Eugeniusza Biedę z materiałami zakończonego śledztwa. Po udzieleniu stosownego pouczenia własnoręczny napis w protokole:

...podtrzymuję dotychczasowe wyjaśnienia, z tym, że podkreślam, po zaznajomieniu się z aktami, iż nie wiem w jaki sposób doszło do tak nieszczęśliwego zwarcia i jak wtedy się zachowałam. Innych wyjaśnień składać już nie chcę, gdyż jest to dla mnie zbyt bolesne. Uzupełnienia śledztwa nie żą-

dam i nie wnoszę żadnych uwag odnośnie zebranych dowodów osobowych, rzeczowych jak też dołączonych do przedstawionych mi akt ekspertyz.

Prokurator Bieda przystępuje do pisania aktu oskarżenia. Wpływa on do sądu Wojewódzkiego w Krakowie 5 marca 1982 roku. Oskarżona jest o to, że *...w dniu 20 listopada 1981 roku w zamiarze pozbawienia życia syna Marka (...) pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami, dwukrotnie ugodziła go nożem, zadają mu ranę kłutą w obrębie klatki piersiowej z uszkodzeniem płuca, worka osierdziowego i serca oraz ranę kłutą powłok jamy brzusznej z uszkodzeniem wątroby, w następstwie czego nastąpił zgon.*

Wkrótce stanęła przed sądem oskarżona o popełnienie przestępstwa z artykułu 148 paragraf 2 kodeksu karnego.

Korytarz sądowy

Sala numer 412 Sądu Wojewódzkiego w Krakowie. Ława oskarżonych, ławy obrońców, stół sędziowski; pod ścianą miejsca dla publiczności. Tej ostatniej jest niewiele. Kilka starszych pań, jakiś emeryt, grupka ciekawskich, podekscytowanych osób. Ten proces — jak się spodziewają widzowie — może być sensacyjny. Nieczęsto się przecież zdarza, aby w charakterze oskarżonej występowała matka, której zarzuca się pozbawienie życia dorastającego syna. Czy tu, w sądzie, wszystkie okoliczności sprawy zostaną ujawnione, czy uda się wyjaśnić wszystkie wątpliwości?

W tej sprawie wszystko jest nietypowe, nietypowy jest także najtragiczniejszy z finałów. Finał — jak twierdzi w uzasadnieniu aktu oskarżenia proku-

rator — spowodowany przez kochającą i oddaną dziecku matkę, której nerwy na moment odmówiły posłuszeństwa i zniwelowały naturalny macierzyński instynkt.

Bardziej radykalni od prokuratora są w swoich opiniach ludzie, którzy nie znali ani oskarżonej, ani jej syna Marka. Wiedzą tylko, że „matka zabiła syna" i ten jeden jedyny fragmentaryczny fakt pozwala im na wysuwanie sądów ostatecznych. Z tą swoją wiedzą i z tym swoim przekonaniem kręcą się po korytarzu czekając na rozpoczęcie procesu.

— Normalna matka — mówi z naciskiem starsza pani — nigdy własnemu dziecku nie wyrządzi takiej krzywdy. Nigdy i za nic na świecie. Nawet gdyby to było dziecko najgorsze z najgorszych...

Na szczęście prawo nie kieruje się emocjami. Prawo ma obowiązek baczyć tylko na prawdę obiektywną. Dlatego rozpoczyna się ten proces i dlatego nikt jeszcze nie wydał wyroku na matkę zabójczynię.

Pierwszy dzień procesu

Na salę wprowadzona została w asyście milicyjnego konwoju. Adwokaci Humiński i Kłys wymieniają ostatnie uwagi ze swoją klientką. Prokurator Eugeniusz Bieda przygotowuje się do odczytania aktu oskarżenia. Po przeciwnej stronie zajmują miejsca biegli lekarze psychiatrzy Bogumiła Rudek-Górka oraz Stanisław Teleśnicki; jest psycholog kliniczny mgr Alicja Włodarczyk.

Punktualnie o godzinie 9 na salę rozpraw wchodzi sąd. Trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Następują wstępne czynności protokularne, po zakończeniu których prokurator odczytuje akt oskarżenia.

— Czy oskarżona zrozumiała zarzut, czy przyznaje się do zarzuconego jej czynu i winy? Czy chce składać przed sądem wyjaśnienia? — zgodnie z procesową regułą pyta przewodniczący, sądzia Elżbieta Sadzik.

Wolno wstaje z miejsca, chusteczką ociera łzy, aby w końcu cicho oświadczyć:

— Zrozumiałam treść oskarżenia. Nie przyznaję się do zarzucanego mi czynu... Będę składała wyjaśnienia...

Po tym oświadczeniu w sali zapanowało pełne zdumienia milczenie. Spodziewano się wszystkiego, tylko nie zaprzeczenia oczywistych, zdawałoby się, faktów. Proces, który miał dać odpowiedź głównie w sprawie winy matki, przekształcił się nagle w trudny proces poszlakowy.

Sędziowie, którzy zwykle starają się ukryć własne reakcje i własne uczucia, także wydają się zaskoczeni. Elżbieta Sadzik przerywa przedłużające się milczenie krótkim poleceniem:

— Proszę wyjaśniać.

Zaczyna mówić o swoim trudnym życiu, o kłopotach wychowawczych jakie sprawiał Marek, o staraniach, których dokładała, by ten chłopiec zerwał ze złym towarzystwem, by chciał się uczyć. Chodziło jej tylko o jedno: o to, aby Marka wychować na porządnego człowieka, by zdobył wykształcenie i zawód.

— Do pokoju wszedł syn — jeszcze raz próbuje odtworzyć w pamięci tych kilka minut, które zdecydowały o wszystkim. O jej losie, o śmierci chłopca. — Marek w obu rękach trzymał noże, które były w kuchni, ale na co dzień nie były używane. Stanął naprzeciwko mnie, siedzącej w fotelu, i skierował noże w moją stronę. Nie potrafię dzisiaj powiedzieć, który z noży trzymał w prawej, a który

w lewej ręce. Marek podskakiwał do mnie z tymi nożami mówiąc: „chodź". Wydawało mi się, że syn zachowuje się nienormalnie, tak jakby do niego nic nie docierało. Coś powiedziałam do niego, chyba użyłam słowa „matka", to było to słowo, które dotychczas powstrzymywało Marka od ataku. Wtedy syn złamał jeden z noży i zamachnął się nim w moim kierunku. Podniosłam się z fotela, chwyciłam go za rękę, w której trzymał ten złamany nóż, zrobiło mi się ciemno w oczach i straciłam świadomość...

Dzisiejsza jej relacja, w niektórych szczegółach, różni się od poprzednich relacji, składanych w śledztwie. Nie było tych wszystkich szczegółów, nie było mowy o zamachu chłopca na matkę.

— Kiedy po jakiejś chwili zobaczyłam światło — kontynuuje swoje wyjaśnienia — okazało się, że stoję skulona przed fotelem, a Marka nie ma już w pokoju. Nagle przeraziłam się myślą, że syn być może uciekł z domu. Wyszłam do przedpokoju i okazało się, że Marek tam stał. Był blady, uważałam, że ze zdenerwowania, więc powiedziałam do niego: „chodź Mareczku do łaziekni, przemyję ci twarz wodą". Poszedł ze mną i kiedy przemywałam mu twarz zobaczyłam, że trzyma się za brzuch. Podniosłam mu sweter i bluzkę i wówczas zobaczyłam ranę na brzuchu. Bardzo się tym widokiem zdenerwowałam. Usadziłam Marka na siedesie, chyba zaczęłam płakać, a w końcu pobiegłam do kuchni, aby dzwonić po pogotowie. Pamiętam, że nie mogłam znaleźć numeru pogotowia — dzwoniłam zupełnie gdzie indziej i dopiero po chwili w gazecie odszukałam prawidłowy numer.

— Co oskarżona powiedziała przyjmującemu zgłoszenie? — pyta sąd.

— Powiedziałam, że zraniłam syna. Uważałam, że jak powiem w ten sposób, to pogotowie przyje-

dzie natychmiast. Musiałam przecież coś powiedzieć, chociaż dokładnie nie wiedziałam co się naprawdę stało — dodaje, jakby wyprzedzając ewentualne pytania.

— Co było potem?

— Wróciłam do łazienki. Marek leżał na podłodze. Powiedział do mnie: „mamusiu, ja już nigdy tego nie będę robił". Było mi go strasznie żal, prosiłam, żeby nie kaszlał. Chciałam jeszcze raz zobaczyć ranę więc odsunęłam sweter i bluzkę, a wtedy przekonałam się, że rana na brzuchu nie krwawi, ale zobaczyłam także, że syn ma jeszcze jedną ranę, wyżej i ta rana krwawiła. Zaczęłam wycierać mu tę krew. Byłam przerażona.

Na chwilę przerywa swoją relację. Próbuje się opanować. Przychodzi jej to z wyraźnym trudem.

— Mówił do mnie... — słyszymy — że nie chce umierać... Pobiegłam po jasiek i poduszkę, które podłożyłam pod głowę Marka. Jak mogłam, tak chciałam mu ulżyć. W tym momencie przyjechało pogotowie ratunkowe.

— Dlaczego syn kierował swoją agresję właśnie przeciwko oskarżonej? — pyta dalej sędzia Sadzik.

Przedłużające się milczenie. W końcu pada odpowiedź.

— Chyba dlatego, że ja starałam się mu wytłumaczyć jak ma żyć i jakich zasad powinien w życiu przestrzegać. To moje mówienie denerwowało go.

— Czy oskarżona jest osobą wybuchową, impulsywną?

— Nie... nie jestem... Uważam, że potrafię się opanować, a w tym jednym momencie niestety nie potrafiłam...

— Jak oskarżona może wytłumaczyć fakt powstania niebezpiecznych ran u syna?

— Uważam, że rany powstały w czasie mojej szamotaniny z synem, lub syna ze mną. Chwytając Marka za rękę, w której trzymał nóż myślałam, że uda mi się to niebezpieczne narzędzie synowi wyrwać.

— Oskarżona po przyjeździe do Komendy Dzielnicowej MO napisała oświadczenie o przebiegu zajścia. Jest ono inne, i to bardzo inne, od wyjaśnień, które usłyszeliśmy dzisiaj — stwierdza prokurator Bieda.

— O sporządzenie wspomnianego przez pana prokuratora oświadczenia zwrócił się do mnie funkcjonariusz milicji, który się mną opiekował.

— Czy coś oskarżonej sugerował, czy milicjant oskarżoną ponaglał? — chce się dowiedzieć prokurator.

— Nie, nic mi nie sugerował, ani także nie ponaglał.

— To skąd się wzięła taka treść?

Chwila zastanowienia, mozolne szukanie przekonywających motywacji.

— Pisząc wspomniane oświadczenie byłam roztrzęsiona i nie wiedziałam co piszę. Nie mogłam sobie przypomnieć przebiegu zajścia i odtworzyłam je w taki sposób, w jaki myślałam, że wszystko się odbyło.

— Co jednak nie znaczyło, że właśnie w opisany sposób musiało się odbyć — podpowiadają obrońcy.

— Tak, oczywiście.

— Jak zwracał się do oskarżonej syn, gdy oskarżona wchodziła do jego pokoju? — to pytanie zadaje adwokat Kłys.

— Z reguły mówił do mnie: „wydupcaj", „wypierdalaj".

— Czy mówiła oskarżona mężowi o tego typu zachowaniu syna?

— Kryłam przed mężem niektóre postępki Marka, ponieważ nie chciałam doprowadzić do dalszych spięć syna z mężem.

— Czy syn był gitowcem? — kontynuują swoje pytania dwaj adwokaci.

— Mówił, że jest gitowcem, a kiedy go pytałam na czym to polega twierdził, że chodzi o ćwiczenia, które mają eliminować wszelki ból. Syn uprawiał dżudo i kulturystykę. Ćwiczył codziennie w domu specjalnie przystosowanymi do tych ćwiczeń przyrządami. Jak było jednak dokładnie z tą przynależnością do gitowców, nie wiem.

— Kiedy oskarżona dowiedziała się o śmierci syna?

— Tuż przed przesłuchaniem przez prokuratora.

— Jak oskarżona przyjęła przekazaną jej informację?

— Byłam wstrząśnięta, załamana. Nie pamiętam czy mi odczytywano zarzut i czy się wówczas przyznałam. Zresztą tego dnia byłam w stanie przyznać się do wszystkiego.

Drugi dzień procesu

W sądzie stawia się 9 świadków. Teściowa oskarżonej korzysta z prawa odmowy zeznań. Ojczym Marka stwierdza, że będzie zeznawał. Jako pierwszy staje wychowawca Marka z ostatnich lat szkoły podstawowej. Jest autorem cytowanej wcześniej bardzo negatywnej opinii o Marku. Teraz tę opinię podtrzymuje.

— Jeżeli idzie o sposób bycia i zachowania się Marka — pedagog odpowiada na zadane mu pyta-

nie — to nic pozytywnego nie mogę o nim powiedzieć. Marek był agresywny, zachowywał się lekceważąco, szczególnie w stosunku do młodych nauczycieli. W klasie ósmej arogancja ucznia jeszcze bardziej się nasiliła. Stawało się to trudne do zniesienia. Zachowywał się wręcz cynicznie.

— Czy rozmawiał pan o zachowaniu Marka z jego matką? — pyta sędzia Sadzik.

— Tak, rozmawiałem kilkakrotnie.

— Z jakim efektem?

— Przyznawała, że sama ma trudności z Markiem, ale odniosłem wrażenie, że stara się syna usprawiedliwić. Zaobserwowałem także bardzo niewłaściwy stosunek ucznia do matki w czasie jej obecności w szkole.

Kilka pytań zadaje nauczycielowi prokurator. Na jedno z nich odpowiada:

— To prawda, że Marek wyróżniał się wśród kolegów wzrostem i rozwojem fizycznym. Miał taką szczególną aparycję. Interesował się bardzo sportem.

— Jak świadek, jako pedagog, ocenia stopień zainteresowania matki Markiem? — chce dowiedzieć się adwokat Kłys.

— Według mojego zdania matka robiła wszystko, aby z Marka zrobić, jak się to mówi, człowieka. Chłopiec był zawsze schludnie, czysto, a nawet elegancko ubrany. Uważam jednak, że matka kochała syna nieco zaślepioną miłością. Muszę powiedzieć, że jestem pedagogiem od 27 lat, w swojej karierze zawodowej spotkałem różnych uczniów, ale tak nieodpowiednio postępującego podopiecznego, jakim był właśnie Marek, jeszcze nie miałem.

Ewa G. była wychowawczynią Marka w I klasie liceum ogólnokształcącego, do którego uczęszczał zaledwie przez trzy miesiące. Od 1 września do 20 li-

stopada. Pani magister o swoim uczniu wyraża się serdecznie i ciepło.

— Na kilka dni przed wypadkiem — przypomina sobie świadek — matka Marka była w szkole. Rozmawialiśmy we trójkę, a chodziło o nie usprawiedliwione nieobecności Marka. W czasie naszej rozmowy chłopiec nic nie mówił. W pewnym momencie jego matka trochę podenerwowana powiedziała: „ty masz wiecznie do mnie pretensje o to, że ojciec nie żyje". Marek na to nic się nie odezwał. Zauważyłam u oskarżonej wielką troskę o Marka i niepokój o osiągane przez niego wyniki w nauce. Pani G. bywała w naszej szkole częściej, niż to robili inni rodzice.

Po raz pierwszy pojawił się w procesie motyw śmierci naturalnego ojca Marka. Marek go nie pamiętał, jednak rodzina zmarłego kilkakrotnie sugerowała chłopcu, że jakąś częstkę winy za zgon ponosi matka. Motyw ten jako drugorzędny dla przedmiotu procesu nie został do końca wyjaśniony. Dowiedzieliśmy się tylko, że ojciec Marka zmarł na atak serca.

Stefania S. należy do tych nielicznych świadków, którzy o Marku mówią z sympatią.

— W ciągu ostatnich 4 lat — stwierdza — z oskarżoną kontaktowałam się częściej, czasem kilka razy w tygodniu, a w lipcu 1981 roku nocowałam u niej przez dwa tygodnie. Z moich własnych obserwacji wynikało, że Marek jest chłopcem o bardzo miłej powierzchowności, miłym sposobie bycia, dobrze wychowanym, budzącym sympatię. Z opowiadań Ali, czyli oskarżonej, wiem jednak, że Marek nie był takim, jakim ona chciała, żeby był. Mówiła do mnie, że się nie uczy, że przebywa w nieodpowiednim towarzystwie, nieco starszym od siebie, że zachowuje się wobec niej niegrzecznie. Z opowia-

dań wiem także, że Marek w stosunku do ojczyma zachowywał się tolerancyjnie.

Trzeci dzień procesu

Przed sądem staje jeden z najważniejszych świadków, Andrzej J., inspektor Komendy Dzielnicowej MO Kraków-Podgórze.

— Z polecenia oficera dyżurnego wykonywałem w tej sprawie czynności. Udałem się do mieszkania oskarżonej. Z informacji przekazanej mi przez przełożonego wiedziałem tylko tyle, że z domu został zabrany do szpitala chłopiec z ranami kłutymi.

— I co świadek zastał w mieszkaniu?

— Zastałem oskarżoną, która była bardzo zdenerwowana. Odniosłem wrażenie, że jest wprost roztargniona, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Chodziła po pokoju z głową opuszczoną, wyraźnie widać było, że ta kobieta przeżywa wielką tragedię. Pytałem oskarżoną co się stało i wtedy powiedziała mi, że wieczorem oglądała w pokoju telewizję, a jej syn przychodził stale do pokoju i coś jej dogadywał. Syn, gdy kolejny raz przyszedł do pokoju miał w rękach dwa noże. Mówił, że mamy się nie boi i na dowód tego złamał jeden nóż. Wtedy ona, wyprowadzona z równowagi, wyrwała mu oba noże i jednym z nich ugodziła chłopca, nie mając zamiaru syna zabić. Mówiła, że biła chłopca tym nożem w jakimś szale i chciała go w ten sposób skarcić.

— Czy rzeczywiście oskarżona mówiła świadkowi, iż biła syna nożem? — sędzia przed zapisaniem zeznań świadka do protokołu chce upewnić się co do jednoznaczności relacji.

— Pamiętam dokładnie — potwierdza inspektor J. — że oskarżona powiedziała do mnie, że uderzy-

ła syna nożem kilkakrotnie. Szczegóły opisałem zresztą w protokole oględzin. Oskarżona przedstawiając dalszy przebieg zajścia utrzymywała, że ugodzenie nożem miało miejsce w pokoju niedaleko od drzwi i oprzytomniała dopiero, gdy syn wybiegł do przedpokoju i tam upadł. W tym miejscu na wykładzinie ujawniłem plamę krwi.

Z oskarżoną rozmawiałem jeszcze chwilę, chcąc ją uspokoić. Była przecież w wielkiej depresji, załamana. Wielokrotnie powtarzała, że martwi się o dziecko. Dopytywała się ciągle o stan zdrowia syna i odniosłem wrażenie, że oczekiwała ode mnie zapewnienia, że życiu chłopca nie grozi niebezpieczeństwo.

— Kto kazał napisać oskarżonej oświadczenie na temat przebiegu zajścia? — pyta sędzia Sadzik.

— Ja. Po przyjeździe do naszej komendy poprosiłem oskarżoną o własnoręczne napisanie oświadczenia. Zgodziła się. Wcześniej nie przesłuchiwałem zatrzymanej, aby przez zadawanie pytań nic jej nie sugerować. Oskarżona napisała oświadczenie własnoręcznie.

O głos prosi oskarżona. Chce złożyć ważne sprostowanie. Jej słowa zostają także zapisane do protokołu rozprawy.

— Stwierdzam, że nie mówiłam do świadka, że syn upadł w przedpokoju, bo nie było to zgodne z prawdą. Upadł, tak jak już to podałam w wyjaśnieniach, w łazience. Do świadka w mieszkaniu powiedziałam tylko tyle, że zraniłam syna i nie wiem jak to się stało. Powiedziałam tak dlatego, że wcześniej taką informację podałam na pogotowiu i uważałam, że moim obowiązkiem jest podać funkcjonariuszowi MO identyczną wersję. Uważam, że szczegóły które dzisiaj przedstawił świadek zna nie ode mnie, lecz wyłącznie z mojego pisemnego oświad-

czenia sporządzonego przeze mnie w budynku MO. Jeszcze raz podkreślam, że pisałam oświadczenie chcąc skomponować jakąś logiczną wersję wydarzeń, których przebiegu nie pamiętałam.

— Świadek słyszał wypowiedź oskarżonej. Czy w tej sytuacji chce coś w swoich zeznaniach zmienić, coś uzupełnić? — zadaje pytanie sąd.

Świadek Andrzej J.:

— W całej rozciągłości obstaję przy swojej wersji zeznań, które złożyłem dzisiaj.

Czwarty dzień procesu

Tego dnia przed sądem stają biegli z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Krakowie. Doktorzy Baran i Lisowski przedstawiają wyniki sekcji zwłok denata, podają przyczynę śmierci.

Obrońcy szykują nam niespodziankę, której jednak spodziewaliśmy się wcześniej. Do tej hipotezy zmierzały misternie zadawane pytania, na które odpowiedzi miały dostarczyć przekonywających argumentów. Oto obrońcy twierdzą, że to nie matka, ale syn dokonał samookaleczenia nie przewidując jednak tragicznych skutków swojego czynu. Hipoteza zostaje wyartykułowana w momencie, gdy przed sądem stają biegli z Zakładu Medycyny Sądowej najbardziej kompetentni do rozstrzygnięcia kolejnych, pojawiających się w tym procesie, wątpliwości.

— Stwierdzone u chłopca obrażenia w postaci pojedynczej rany kłutej klatki piersiowej i pojedynczej rany kłutej jamy brzusznej — mówi dr Baran — mogły być zadane, biorąc pod uwagę lokalizację, tak własną ręką, jak i ręką osoby drugiej. Jeżeli popatrzeć na tę sprawę pod kątem samo-

uszkodzenia, a więc działań mających na celu uszkodzenie się na zdrowiu, a nie doprowadzenie do sytuacji zagrożenia życia, to trzeba powiedzieć, że typowe dla samouszkodzeń są rany zlokalizowane na przedramieniach, powłokach klatki piersiowej i brzucha. Częściej mają charakter ran ciętych, aniżeli ran kłutych. Odpowiadając jednak na zadane mi przez obrońcę pytanie podaję, że zakładając, iż rana na klatce piersiowej zadana została ręką własną poszkodowanego, to nie można wykluczyć, że i druga rana też mogła zostać zadana ręką własną. Dotyczy to również odwrotnej kolejności zadawania ran.

— Pan doktor nie wyklucza więc możliwości samouszkodzenia się syna oskarżonej? — chce jeszcze raz upewnić się obrońca Kłys.

— Takiej możliwości, choć przyznaję, że jest ona bardzo mało prawdopodobna, nie mogę jednak kategorycznie wykluczyć — odpowiada biegły.

— Bardzo dziękuję panu doktorowi.

Piąty dzień procesu

Przychodzi kolej na opinie biegłych lekarzy psychiatrów i psychologa klinicznego. Psychiatrzy, dr Bogumiła Rudek-Górka i dr Stanisław Teleśnicki, mówią:

— Podtrzymujemy sporządzoną na piśmie naszą opinię wydaną na podstawie przeprowadzonych badań, a potwierdzoną także przebiegiem rozprawy.

Po specjalistycznych wywodach lekarze sumują swoje wnioski:

— U oskarżonej nie stwierdzamy choroby psychicznej ani niedorozwoju umysłowego, a wykazane ograniczenie poczytalności oceniamy jako tzw.

inne zaburzenia czynności psychicznej, o charakterze zaburzenia efektywnego, które określane jest jako reakcja krótkiego spięcia. Reakcja ta polega na gwałtownym rozładowaniu emocjonalnym w chwili powstania czynnika wywołującego to rozładowanie. Tego rodzaju stan może powstać u ludzi zupełnie zdrowych, znajdujących się przez dłuższy czas w pewnej szczególnej sytuacji.

U naszej pacjentki wykluczamy jednocześnie efekt patologiczny z uwagi na to, że nie stwierdzono u niej żadnych zmian w zakresie funkcji ośrodkowego układu nerwowego. U oskarżonej stwierdziliśmy natomiast częściowe przymglenie świadomości, które jest charakterystyczne właśnie dla reakcji krótkiego spięcia. W stanach narastającego napięcia emocjonalnego w sposób typowy dochodzi do zawężenia świadomości. Występujące w czasie trwania tego stanu reakcje, jak również sposób zachowania, wygląd otoczenia, ocena miejsca pobytu, mogły być przykryte niepamięcią, lub może pozostawać jedynie pamięć fragmentaryczna. Może również zaistnieć pomieszanie chronologii wydarzeń, a nawet może zaistnieć taka sytuacja, że próbując odtworzyć czas pokryty niepamięcią, pacjent przyjmuje niezgodnie z faktycznym stanem rzeczy jako decydujący jakiś bodziec, który obiektywnie miał niewielkie znaczenie.

— Jaki jest obecnie stan oskarżonej? — sąd próbuje uzupełnić orzeczenie lekarzy.

— W czasie badania — odpowiadają biegli — stwierdziliśmy u pacjentki głęboki zespół depresyjny, który może zostać pogłębiony dalszym przebywaniem w zakładzie karnym. Oskarżona nie stwarza niebezpieczeństwa dla porządku prawnego. Nie stwarza zaś dlatego, że możliwość wystąpienia u niej podobnej reakcji jak w dniu 20 listopada 1981 roku

jest znikoma, gdyż mało prawdopodobne jest aby ponownie między oskarżoną, a inną osobą wytworzyła się tak długo trwająca sytuacja, jaka miała miejsce między nią a synem.

Psycholog kliniczny mgr Alicja Młynarczyk także podtrzymuje swoją opinię złożoną sądowi na piśmie, dodaje jednak:

— Oskarżona jest osobowością skłonną do obciążania siebie winą za sytuacje trudne, negatywnie oceniane w aspekcie społecznym. Jeżeli zaś chodzi o kwestie dotyczące pamięci, w całości przyłączam się do przedstawionej przez biegłych lekarzy psychiatrów opinii. Ze swojej strony chcę jedynie podkreślić, że zarówno proces zapamiętywania jak i odpamiętywania jest uzależniony od stanu emocjonalnego osoby w momencie zajścia i w momencie badania. Przy dużym nasileniu emocji w dużym stopniu zostają zakłócone procesy poznawcze i w tej sytuacji może nastąpić zapamiętywanie w szczególny sposób, czyli w sposób wybiórczy.

Magister Alicja Młynarczyk wyczerpuje listę świadków i biegłych, którzy zeznawać mieli przed sądem. Na pytanie przewodniczącej składu sędziowskiego, czy strony nie żądają uzupełnienia przewodu sądowego — nie pada żaden wniosek. Po chwili sędzia Elżbieta Sadzik zamyka przewód sądowy i zgodnie z zasadami procesu karnego udziela głosu oskarżycielowi publicznemu.

Wywody prokuratora Eugeniusza Biedy są logicznie spójne, jeżeli przyjąć zasadnicze założenie, że to oskarżona ugodziła nożem syna. Prokurator to założenie przyjmuje, powołuje się na dowody, aby w końcu stwierdzić, że przebieg procesu w pełni potwierdził winę oskarżonej. To prawda, że działała ona pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami, nie znaczy i nie może to

znaczyć wcale, że czyn popełniony przez nią może jej ujść bezkarnie.

— Przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności łagodzących — konkluduje prokurator — wnoszę o uznanie oskarżonej winną zarzucanego jej czynu, przyjęcia kwalifikacji z artykułu 148 paragraf 2 kodeksu karnego i wymierzenie oskarżonej kary 4 lat pozbawienia wolności.

Obrońcy adwokaci Stanisław Humiński i Stanisław Kłys zdecydowanie polemizują z argumentacją prokuratora. Szczególnie przemówienie adwokata Kłysa wywołuje wrażenie tak na publiczności, jak i chyba na sądzie. Mecenas Kłys stara się wykazać, że proces nie dostarczył żadnych przekonywających dowodów winy oskarżonej — co więcej, nie można wykluczyć, gdyż nie zrobili to także powołani biegli, że to 15-letni chłopiec sam się okaleczył doprowadzając do tragedii. Tragedii swojej i matki.

Po raz kolejny słuchamy charakterystyk oskarżonej i jej syna. W pewnym momencie trudno jest mi oprzeć się wrażeniu, że obrońcy pozbierali się w prokuratorskie togi i oskarżają zmarłego chłopca. W tym zderzeniu opisów postępowania dobrej matki i „złego" syna jeszcze wyraźniej uwypuklić się ma skomplikowana sytuacja, w jakiej znalazła się kobieta. To Marek jest winny, a nie matka — zdają się mówić mecenasi.

Adwokaci powołują się na zasadę tłumaczenia wszystkich wątpliwości na korzyść oskarżonego, a ponieważ tych wątpliwości — zdaniem obrońców — jest bardzo wiele, solidarnie wnioskują o uniewinnienie swojej klientki.

Ostatnie słowo przysługuje oskarżonej. W sądowej sali panuje cisza. Po chwili słyszymy kilka wypowiadanych zdań:

— Nie umiem nic powiedzieć... Nie wiem, czy to

ja zabiłam syna... Chciałabym się dowiedzieć, jak to było naprawdę...

Sąd udaje się na naradę.

Narada

Nie znamy, bo i znać nie możemy, przebiegu sędziowskiej narady nad winą i karą. Musiała być to narada burzliwa, jeżeli zważyć, że dwóch sędziów-ławników głosowało za uniewinnieniem oskarżonej, a dwóch sędziów zawodowych i jeden ławnik opowiedziało się za uznaniem oskarżonej winną. Pod sentencją wyroku czytamy oświadczenie jednego z dwu wspomnianych ławników:

...nie zgadzam się z wyrokiem w tej sprawie wydanym większością głosów, a to z następujących powodów:

1. *Przyznanie się do winy oskarżonej zaraz po zajściu, było wywołane szokiem, w jakim się ona wówczas znajdowała. Stwierdzenie biegłego lekarza psychiatry, iż w pierwszym momencie mówi się prawdę, nie może być przyjęte za pewnik. Oskarżona bardzo dbała o syna, w szkole starała się go wybielić, usprawiedliwiać. Jak wykazał to proces, w sprawach wątpliwych brała winę na siebie. Tak samo więc w danym zajściu, chcąc oszczędzić syna przed ewentualnymi skutkami, mogła przyjąć winę na siebie;*
2. *chłopiec związał się z grupą gitowców, czyli tzw. mocnych ludzi i zaczął w sposób charakterystyczny dla tej grupy, nacinać się, był arogancki, bezczelny, pewny siebie i w związku z tym przekraczał wszelkie dopuszczalne granice, co miało miejsce nie tylko w szkole, ale i w domu w stosunku do matki. W dniu zajścia, gdy po przyj-*

ściu do domu matka zaczęła robić mu wyrzuty co do jego zachowania się, chłopiec chwycił za noże i wywijając nimi przed matką, wykrzykując jako gitowiec przy tym różne epitety, mógł jednym z tych noży samouszkodzić się. Jaki był przebieg zdarzenia nie wiadomo, bo matka przebiegu zajścia nie pamięta. Chwilowa utrata pamięci przez matkę została potwierdzona przez biegłych, z kolei możliwość samookaleczenia się przez chłopca nie została wykluczona przez biegłych z Zakładu Medycyny Sądowej;

3. niewłaściwe było zabezpieczenie dowodów rzeczowych, tj. noży, gdyż z żadnego z nich nie zdjęto linii papilarnych, a co według opinii kryminologa było możliwe;
4. nie można przyjąć za wiarygodne oświadczenia lekarzy z Kliniki Chirurgicznej, gdzie chłopca operowano, gdyż na pytanie: kto to zrobił, czy matka? — chłopiec skinął jedynie głową. Ponieważ chłopiec miał w tym czasie silne bóle i w związku z tym grymasy twarzy, to jeden z takich grymasów lekarze mogli wziąć za odpowiedź na ich pytanie;
5. działanie w obronie własnej, moim zdaniem odpada, gdyż zachodziła duża dysproporcja sił i wzrostu między matką a synem, a ponadto ten ostatni był przecież kulturystą;
6. nie wyobrażam sobie, aby matka mogła zadać synowi ciosy nożem, gdyż ten ostatni był przez nią bardzo dobrze traktowany, nie był zaniedbywany, miał bardzo dobre warunki materialne, a nawet mocą sporządzonego testamentu matka uczyniła syna jedynym swoim spadkobiercą;
7. przy zajściu obecni byli tylko matka i syn, gdyż 4-letnia córeczka nie może być świadkiem. Możemy opierać się tylko na relacji matki, która nie

mogła zrekonstruować przebiegu całego zajścia z powodu chwilowej utraty pamięci, o czym wspomniałem już wyżej, a żadnych innych dowodów nie ma.

Ponieważ w sprawie powyższej, jak już to powiedziałem nie ma żadnych dowodów, a przewód sądowy wykazał szereg wątpliwości, z których parę wymieniłem i stojąc na stanowisku, że wszystkie wątpliwości muszą być zaliczane na korzyść oskarżonej, zająłem odrębne stanowisko, tj. byłem i jestem za uniewinnieniem oskarżonej.

Podobną treść posiada oświadczenie drugiego ławnika, który także głosował za uniewinnieniem oskarżonej.

Wyrok

14 maja 1982 roku. Czekamy na ogłoszenie wyroku. Sąd wchodzi na salę rozpraw. Wstajemy. Sędzia Elżbieta Sadzik odczytuje sentencję wyroku.

Oskarżoną sąd uznaje winną tego, że z dniu 20 listopada 1981 roku w Krakowie, mając ograniczoną w stopniu znacznym zdolność rozpoznania czynu i pokierowania swym postępowaniem podczas kłótni z synem Markiem, działając z zamiarem okaleczenia go i równocześnie godząc się co najmniej na skutek w postaci uszkodzenia ciała określonego w artykule 156 paragraf 1 kodeksu karnego (sąd nie uwzględnił proponowanej przez prokuratora kwalifikacji i zastosował inną — przyp J. H.). *dwukrotnie ugodziła go nożem zadając mu ranę kłutą klatki piersiowej z uszkodzeniem płuc, worka osierdziowego i serca, oraz ranę kłutą powłok jamy brzusznej z uszkodzeniem wątroby, w następstwie czego spowodowała jego śmierć, który to skutek co naj-*

mniej powinna była i mogła przewidzieć, czym wyczerpała znamiona przestępstwa z art. 157 parag. 1 kk w związku z art 156 parag. 1 kk, w związku z art. 25 parag. 2 kk i za to na mocy art. 157 parag. 1 kodeksu karnego skazuje ją na karę trzech lat pozbawienia wolności.

Kobieta przyjmuje wyrok ze spokojem. Nie ożywia się nawet wówczas, gdy sędzia ogłasza uchylelenie w stosunku do skazanej aresztu tymczasowego do czasu uprawomocnienia się wyroku...

— Sąd uchyla areszt — argumentuje sędzia Sadzik — albowiem uznał, że dalsze jego utrzymywanie pociągnęłoby dla oskarżonej i jej rodziny skutki zbyt ciężkie, skoro ma 4-letnie dziecko, a z opinii psychiatrycznej wynika, że przebywanie oskarżonej w zakładzie karnym w obecnym jej stanie psychicznym, spowodowałoby jego dalsze pogłębienie.

Skazana opuszcza krakowski sąd tym razem nie w asyście milicyjnego konwoju, lecz w towarzystwie męża obecnego na sali rozpraw podczas całego procesu.

Rewizje

Od wyroku orzeczonego przez Sąd Wojewódzki w Krakowie wpływają do Sądu Najwyższego rewizje wystosowane tak przez oskarżyciela publicznego jak i obrońców.

Prokurator zaskarża wyrok w całości, zarzucając Sądowi Wojewódzkiemu obrazę przepisu prawa materialnego. Oskarżyciel publiczny nie zgadza się z kwalifikacją prawną zastosowaną przez sąd.

Podobny zarzut poszerzony o błędną ocenę okoliczności faktycznych, przyjętych za podstawę orze-

czenia, przy równoczesnym dopuszczeniu się zbyt daleko idącej dowolności przy ocenie dowodów, wysuwają w rewizji obrońcy skazanej. Adwokaci Humiński i Kłys wnoszą o zamianę zaskarżonego wyroku w ten sposób, że uniewinnia się oskarżoną od przypisywanego jej zarzutu, względnie w najgorszym razie: o uchylenie zaskarżonego wyroku w całości i przekazanie sprawy sądowi I-szej instancji do ponownego rozpatrzenia w innym składzie sędziowskim.

W Warszawie wyznaczony zostaje termin rozprawy rewizyjnej.

Sąd Najwyższy

12 listopada 1982 roku sprawa ta trafia na wokandę Izby Karnej Sądu Najwyższego w Warszawie. Sąd po analizie wywodów rewizji i akt sprawy, wydał wyrok utrzymujący wyrok sądu I-szej instancji w mocy.

Sąd Wojewódzki w Krakowie — czytamy w uzasadnieniu stanowiska Sądu Najwyższego — *rozważał obronę oskarżonej opartą na oświadczeniu biegłych z zakresu medycyny sądowej, iż stwierdzone u Marka T. rany mogły być zadane ręką własną jak i drugiej osoby. Sąd Wojewódzki w sposób bardzo przekonywający odrzucił tezę o samobójstwie Marka T., czy też o dokonanym przez niego samookaleczeniu. Stanowisko Sądu Wojewódzkiego jest logiczne i prawidłowe.*

(...) Sąd Wojewódzki szczegółowo wskazał okoliczności, które miał na uwadze przy wymiarze kary. Wśród tych okoliczności nie pominął żadnej, która miała charakter łagodzący. Uwzględniając skutek czynu oraz względy na społeczne oddziaływanie ka-

ry, należało uznać, iż wymierzona kara nie zawiera cechy niewspółmiernej surowości i to w stopniu rażącym.

Finał

Wyrok w tej sprawie stał się prawomocny. Matka Marka przebywa w szpitalu, gdzie intensywnie się leczy. Skazana może być osadzona w więzieniu dopiero wówczas, gdy stan jej zdrowia będzie na to pozwalał. A obecnie przybywa jedynie zaświadczeń lekarskich podobnych w treści do tego:

...Niniejszym zaświadcza się, że pacjentka pozostaje w leczeniu z powodu reaktywnego zespołu depresyjnego związanego ze śmiercią jej syna. Zespół depresyjny u wymienionej charakteryzuje się tym, że chora na poziomie intelektualnym wie, rozumie i zdaje sobie sprawę z tego, że jej syn nie żyje, natomiast emocjonalnie faktu tego nie dopuszcza do świadomości. Reakcja jej przypomina reakcję niektórych kobiet bardzo silnie związanych uczuciowo z nieżyjącymi, a które to kobiety przy zgonie najbliższych nie były obecne. Jest to postać mechanizmu obronnego, obserwowana na przykład u matek czy wdów osób poległych na wojnie.

Fragmentaryczna niepamięć wydarzeń w tym przypadku, równa się nieobecności fizycznej. Niemożność wyjaśnienia sobie sytuacji i odtworzenia wszystkich okoliczności związanych ze śmiercią syna oraz niepewność co do roli, jaką odegrała ona w tej tragedii, jest nieustannym źródłem jej niepokoju. Cały czas trwa intensywne poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: czy „to" było możliwe? Jest także ucieczka od świata ludzi zdrowych i ich „normalnych" problemów."

— Wie pan — powie mi ławnik, który orzekał w tej sprawie — dla tej kobiety najstraszniejszą, najokrutniejszą karą będzie świadomość, że być może zabiła własne dziecko. Żaden sąd i żadne więzienie w tej sytuacji nic nie zmieni. Kobieta ta będzie nosiła swój ciężki krzyż do końca życia...

KTOŚ TAKI JEDEN

WŁADYSŁAW ŚLAZYK

Tysiące znają tę postać: szczupła sylwetka starca o długich, siwych, opadających na ramiona włosach, twarz rzeźbiona wyrazem natchnienia, które zdaje się nigdy z niej nie schodzić — odmienia się tylko przez rozjaśnienie uśmiechem, albo ściągniętymi szczególną powagą rysami. Człowiek ten porusza się majestatycznie, a zwykle na ulicach Krakowa widywany jest w pelerynie utkanej tarczami szkolnymi i znakami różnych międzynarodowych związków i korporacji. Barwna to peleryna, a osoba która ją nosi jeszcze od swojego stroju barwniejsza.

Władysław Ślazyk przez nieomal ćwierć wieku pełni funkcję dozorcy i opiekuna gotyckiego ołtarza Wita Stwosza w Kościele Mariackim. Zaczął swoją służbę, gdy ołtarz był w konserwacji na Wawelu.

— Widziałem — wspomina — wszystkie fragmenty oddzielnie, porozkładane na stołach, że można je było ręką dotykać. Można było oglądać z bliziutka — obrazy stały oparte o balustradę, figury na podłodze. Niektóre, żal patrzeć, pocięte przez robactwo, z innych zmyta farba. A mimo to patrzyłem na nie, przypatrywałem się i nie mogłem oczu oderwać — że to ludzka ręka potrafiła takie cuda, takie arcydzieła stworzyć. Ołtarz liczy sobie przeszło pięćset lat, a więc drzewo, z którego został zrobiony, ma ponad tysiąc — pamięta czasy Piastów. Starsze jest od naszego państwa. Czy nie można się nad tą cu-

downą sprawą zadumać? Pod zbawczymi rękami konserwatorów figury nabierają dawnego poloru, a potem ołtarz wraca na swoje miejsce. A ja przy nim...

Zamyka się koło. Chemia atakująca Kraków z powietrza wdziera się również do Kościoła Mariackiego. W roku 1983, ołtarz zostaje zasłonięty plastykowymi płachtami, a na postawione przy nim rusztowania wchodzą konserwatorzy. Ratują co się da. Pan Ślazyk — niestety — z konieczności zawiesił swoją działalność. Nie otwiera, jak czynił to przez dziesiątki lat codziennie — ołtarza o dwunastej, równo z hejnałem z wieży kościelnej. I nie trwa na swoim posterunku do siódmej wieczorem, gdy już odchodzą ostatnie wycieczki, którym objaśniał co należy wiedzieć o wielkim Wicie Stwoszu. Przeczekuje w swoim mieszkaniu w Prokocimiu, wyglądając lepszych czasów. Lepszych czasów w wyścigu między złymi skutkami przemysłowego rozwoju Krakowa, a interesem miasta jako skarbnicy narodowej kultury.

— Amerykanie chcieli kupić od nas ten ołtarz. Dawali tyle złota, ile waży środkowa figura — siedemset kilogramów. Ma pan pojęcie? Nie z nami takie interesy!

Redaktor Leszek Konarski z Krakowa, który odkrył niezwykłość w osobie dozorcy ołtarza, powiada, że z latami przebywając wśród rzeźb Stwosza, upodobnił się do nich. Coś w tym jest, skoro jego twarz zauważył reżyser „Kopernika" w tłumie przetaczającym się przez Rynek i zaoferował mu rolę. Właśnie taką — przepełnionej mistycyzmem postaci średniowiecza. Raz zauważona twarz została wzięta do innych filmów — statystował pan Ślazyk w „Weselu" i w „Historii żółtej ciżemki", w kilku innych kostiumowych filmach fabularnych.

Niewielu zna jego nazwisko, ale tysiące znających go z widzenia wiedzą, że zwie się Stwosz. Później pojawiły się też inne imiona: Kopernik, Wajdelota, Wernyhora, Prorok, Patriarcha. Drugie co do popularności imię to Arcykustosz. Kustosz jest tytułem naukowym, samo „kustosz" byłoby za mało. Kustosz nad kustosze — Arcykustosz. Kto potrafi lepiej niż on — chociaż nie studiował historii na Uniwersytecie Jagiellońskim — opowiedzieć o ołtarzu Wita Stwosza. Nie jest zawodowym przewodnikiem, za to opowieści jego są sugestywne jakby były przeżywaną, życiową rolą.

W jego małym pokoiku w Prokocimiu głównym kolorystycznym akcentem są rozwieszone trzy peleryny, naszywane tarczami szkolnymi i turystycznymi plakietkami. Gospodarz wychwytuje moje pytające spojrzenie.

— To się zaczęło tak: skończyłem razu jednego oprowadzać wycieczkę szkolną, a wtedy podeszła do mnie dziewczynka i przypięła mi do płaszcza tarczę. Powiedziała, że w ten sposób pragnie mi okazać wdzięczność za wzruszenia, jakich doznała z tego powodu, że potrafiłem swoim opowiadaniem ożywić rzeźby. Piękne to było dla mnie podziękowanie. Wkrótce przy jednej tarczy szkolnej pojawiła się druga, trzecia, piąta. Obecnie mam ich przeszło trzy tysiące. Gdy już miałem pierwszą pelerynę z tarcz, pojawiła się również pierwsza kontrola — ktoś z Wrocławia poprosił mnie pewnego dnia, abym mu pozwolił sprawdzić, czy nadal noszę tarczę z ich szkoły. Takie kontrole powtarzają się stale.

Mówią o nim: żywy zabytek Kościoła Mariackiego.

On o sobie: ja jestem dziwak, bzik na tle pamiątek. To najświętsza prawda. Kiedy rozsiadam się w jego mieszkaniu od razu widzę, co jest do rozmo-

wy przygotowane: cała sterta albumów — to fotografie rodzinne i dokumenty, często mało ważne, niemniej każdy z nich posiada swoją historię i anegdotę.

Przekaz pocztowy na dziewięćdziesiąt siedem złotych. Nadawca — Zespoły Filmowe. Należność za występ w filmie „Zapamiętaj imię swoje".

— Nie zgłosiłem się do kasy, specjalnie kazałem honorarium przesłać pocztą, żeby mieć pamiątkę.

Zaiste, trzeba mieć szczególne upodobanie do pamiątek, żeby również przemyśliwać, jak je tworzyć. Łowcy autografów mieliby czego panu Ślazykowi zazdrościć. Gdyby istniał konkurs dla zbieraczy autografów, Arcykustosz, Stwosz — idę o każdy zakład — miałby pierwsze miejsce. Te wpisy umieszczone w kilku albumikach — są świadectwem nie tylko operatywności pana Ślazyka, ale dowodem na to, jakie prominentne osoby zwiedzają Kraków, kto idzie do Kościoła Mariackiego podziwiać wybitne dzieło gotyckiej rzeźby. A więc wpisał się panu Ślazykowi prezydent de Gaulle i kardynał Wojtyła, sekretarz ONZ Kurt Waldheim i premier Szwecji Olof Palme — za wiele by nazwisk wymieniać — więc podsumowując: są monarchowie (król i królowa Belgii, Holandii), są kardynałowie i premierzy, senatorowie i profesorowie, ministrowie i artyści — przewija się cały świat — Ekwador i Argentyna, Indie i Gwinea, Bułgaria, Związek Radziecki, Egipt, Iran. Premierów co najmniej dwudziestu, kardynałów tyluż.

Służba przy ołtarzu Wita Stwosza to jedna część niezwykłości pana Ślazyka. Druga — obowiązek ten sam sobie nałożył — to wychowanie dwadzieściorga dzieci. Strannie prowadzony album rodzinny jest wymownym dowodem: rozmnaża się na fotografiach chmara drobiazgu, drobiazg rośnie — fotografie gru-

powe przemieniają się w ślubne, przybywają nowe twarze... zmieniają się stroje, nastaje inna epoka, a wraz z nią celują prosto w obiektyw szeroko rozwarte oczy niemowląt.

— Proszę powiedzieć coś o sobie — zadaję zwykłe pytanie niezwykłemu panu Ślazykowi.

— Mam zacząć od urodzenia? Na wołowej skórze pan wszystkiego nie spisze.

— Spróbujmy.

— Urodziłem się w powiecie limanowskim, w Słopnicach. To była wieś, gdzie nikt aż do powstania listopadowego ani czytać, ani pisać nie umiał. Dopiero dowódca powstańczy, szlachcic z pochodzenia, Piotr Piaskowy, który znalazł się w Słopnicach i tu po upadku powstania osiadł, nauczył swoje dzieci czytania i pisania. Oni byli we wsi pierwsi, co tę sztukę posiedli. Ważne w tej historii jest, że szlachcic dlatego we wsi został, iż zakochał się w wiejskiej dziewczynie, Rozalii, i ją poślubił. Jednego z synów wykształcili na księdza — to był właśnie słynny ksiądz Piaskowy, który z Łącka uczynił krainę kwitnącej jabłoni. On nauczył chłopów zakładania sadów..

— Krąży legenda, że proboszcz przybrał taki system: przy spowiedzi, za grzechy, na pokutę nakazywał góralom drzewka owocowe sadzić. Im większy grzech, tym więcej drzewek. Tym sposobem łącka dolina w krótkim czasie przemieniła się w jeden sad.

— Wszystko możliwe. — Ale naprawdę to ksiądz Piaskowy wybudował w Łącku dom ludowy, sprowadzał różne odmiany zbóż, śliw i jabłoni, abonował prasę, szerzył oświatę i kulturę rolną. Dzisiaj ma w Łącku swoją ulicę.

— Mieliśmy rozmawiać o panu...

— Życzył pan sobie po kolei. A po kolei było

tak, że ksiądz Piaskowy poprosił moją matkę, aby dała kogoś do pomocy w gospodarstwie nad niedołężnym już jego bratem Błażejem. Matka posłała mnie. Miałem dziedziczyć po Błażeju Piaskowym gospodarstwo, ale stało się inaczej — przeto już nie miałem czego szukać na wsi, za dużo tam było gęb do jedzenia, więc postanowiłem wynieść się do Krakowa. Po zapłaceniu biletu kolejowego zostało mi trzy złote w kieszeni, to był mój kapitał zakładowy. W Krakowie odnalazłem ciotkę, pozwoliła mi u siebie zamieszkać, a pracę dostałem w redakcji „Dzwon Niedzielny". Pan się orientuje, że streszczam swój życiorys w telegraficznym skrócie. Bo przecież każdy dzień był dla mnie odmianą losu, każdy tydzień niósł wielkie wydarzenia.

— Tak też sądzę. Zatrzymamy się jednak przy tych wydarzeniach, dzięki którym stał się pan człowiekiem-instytucją.

— W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym odwiedził naszą redakcję ksiądz Rękas, to była znana osoba, prowadził radiowe audycje dla chorych. Wypatrzył mnie jakoś: „Chłopcze — zaproponował mi po krótkiej rozmowie — pojedziesz ze mną do Lwowa". We Lwowie właśnie prowadził ksiądz Rękas to swoje Apostolstwo Chorych. Zgodziłem się bez wahania. Biuro Apostolstwa Chorych zatrudniało około dziesięciu osób. Moim zadaniem była wysyłka poczty, przyjmowanie darów, pakowanie paczek — rozdział — roboty przez cały tydzień huk. Ksiądz Rękas to chyba była najbardziej po marszałku Piłsudskim popularna osoba. Wszystko mu zawdzięczam, co człowiek ma najcenniejsze: miłość Boga, Ojczyzny i bliźnich — zwrócenie się zwłaszcza ku biednym, chorym i sierotom. Pracowałem w Apostolstwie Chorych bez wytchnienia, nie miałem czasu na rozrywki, nie potrzebowałem ich,

praca społeczna stała się wielką moją radością. I tak przyszedł rok trzydziesty dziewiąty.

— Jak pan przeżył wojnę?

— Ma pan gruby brulion, ale i tego starczyłoby do spisania moich przeżyć i wydarzeń, w które wplątał mnie los, a Opatrzność ratowała. Każdy wie, jak wyglądał Lwów w czasie wojny. Ja, wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych, w tym co miałem na sobie — jak to się mówi w jednej koszuli — przez front i potem okrężną drogą pociągami przez Warszawę, Kraków, Tarnów dotarłem do Tymbarku — i zdążyłem na święta Bożego Narodzenia do Słopnic. Rodzina przywitała mnie łzami radości — ale na wsi to były głodne święta. Niemcy zabierali żywność dla wojska, a do tej biedy przyjmowaliśmy przyjeżdżających tutaj wysiedlanych z poznańskiego Polaków. Ja od razu zgłosiłem się do pracy w Radzie Głównej Opiekuńczej, tak zwanego RGO, organizacji mającej na celu pomoc potrzebującym — byli to ludzie wysiedleni z Poznańskiego i uchodźcy ze wschodu. Ja otrzymałem bardzo dobrą legitymację — przez znajomych dostałem zatrudnienie w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu. Mogłem swobodnie i spokojnie poruszać się po terenie, bez obawy aresztowania i wywiezienia na roboty przymusowe. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa wolno było tam jeździć bez zezwolenia. Od razu pojechałem. Warunki okupacyjne straszne, głód, nie wiadomo co dalej... W „Caritasie" zobaczyłem grupę kilkudziesięciorga dzieci, wysłanych przez wystraszonych rodziców ze wsi do Lwowa. Zupełnie nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Wpadłem na pomysł, że ja, z legitymacją pracownika kolei, mogę udawać, że wiozę dzieci na kolonie. Tak też zrobiłem. Wsadziłem biedactwa do pociągu, upał straszny, dzieci wygłodzone i tak przez dwa dni jechaliśmy —

dzieci siedziały jak trusie. Dojechaliśmy szczęśliwie do Tymbarku — ja od razu ze stacji telefonuję do pani Turskiej na tartak, inaczej mówiąc do pani dziedziczki. Była ona jednocześnie przewodniczącą RGO. — Pani dziedziczko — mówię — przywiozłem czterdzieścioro dzieci ze Lwowa. Słyszę w słuchawce „już lecę". Naprzeciwko tartaku znajdowała się owczarnia, prowadził ją inżynier Marek, złoty chłop, patriota, społecznik. Z panią dziedziczką naładowali od razu do koszy chleba, soków, marmolady i robotnicy już z tym pędzą na stację. Trzeba było widzieć te dzieci i jaki miały apetyt. Potem rozlokowaliśmy biedactwa w stodole, a następnego dnia — akurat niedziela — na moją prośbę ksiądz proboszcz ogłosił z ambony, że są przywiezione dzieci i trzeba się nimi zaopiekować. Po mszy stałem z tą gromadką przed kościołem i drugi raz czegoś takiego chyba już nie zobaczę — jak ludzie sobie te dzieci z rąk wyrywali.

— O ile wiem te tereny były bardzo niespokojne w okresie wojny.

— Tak, tutaj istniała potężna partyzantka. Stale toczyły się walki z Niemcami. Nie brakowało sabotażu — wysadzano całe pociągi, idące na front. Raz został nawet strącony samolot niemiecki — odpowiedzią była pacyfikacja wsi, zginęła chmara ludzi. Proszę, tak wyglądałem w tym czasie... Całkowita niedojda.

Pan Ślazyk wyciąga fotografię, przedstawiającą wiejskiego żebraka, obraz nędzy i rozpaczy — koślawe buty, sękaty kij, pognieciony kapelusz, twarz zarośnięta.

— Przyjechali po mnie do warsztatów kolejowych gestapowcy, koledzy dali znać i udało mi się uciec. Ukrywałem się. Spałem w zbożu, w lesie, i tak jakoś przetrwałem. Dzisiaj to można powiedzieć jed-

nym zdaniem, a przecież to były głodne i chłodne, groźne — dni, tygodnie, miesiące. Każdy dzień przynosił coś ważnego — na wołowej skórze by pan nie spisał.

— A po wojnie?

— Zachciało mi się jechać do Krynicy. Zgłosiłem się do Inspektoratu Szkolnego i powiedziałem, że chcę uczyć. Dostałem skierowanie do Czyrnej. Wieś łemkowska, dzieci po polsku nie umieją. Po kilku dniach w nocy pukanie do drzwi. Do mojego mieszkania wchodzą uzbrojeni i dziwnie umundurowani mężczyźni. — Kim jesteście? — pytam. Oni na to: „A jak pan myśli?" Mówię: „Może milicja, a może wojsko w przemarszu?" Roześmiali się złowrogo: „My jesteśmy UPA — i co, ścierpły panu łydki?"

Mieszkałem u gospodarza, nazywał się Polikarp. On mnie wyratował z opresji, wystawiając dobre świadectwo. I, znowu, proszę pana, w jednym zdaniu zmieściłem zdarzenie toczące się pół nocy, straszne wprost. Tkwiłem w tej wsi aż do wysiedlenia Łemków — raz miałem wizyty UPA, raz UB, na zmianę. Uczyłem dwa lata na tych terenach, a potem przeniosłem się do Krakowa. W porównaniu z tym co przeszedłem uzyskałem pracę wypoczynkową, w Bibliotece Jagiellońskiej. Wśród książek. Zawsze kochałem książki. Byłbym tam może pracował do dziś, gdyby nie ołtarz Wita Stwosza, który z pracowni konserwatorskich na Wawelu wracał do Kościoła Mariackiego.

— Wtedy także stał się pan opiekunem gromady dzieci, o czym głośno się mówi?

W krótkim czasie zmarł mi ojciec, matka, dwóch braci. W niedługim okresie spadły dalsze nieszczęścia — pożar w gospodarstwie najlepszej z sióstr, Hani, potem jej nagła śmierć — pozostało mi po

niej pięcioro dzieci. Nagła śmierć męża drugiej mojej siostry i w konsekwencji jej nieuleczalna choroba — zostało po niej czworo dzieci. Z trzecią siostrą także nieszczęście — nieuleczalna choroba i gruźlica jej męża. Gdy zmarł pozostało ośmioro dzieci. Zebrałem całą tę gromadę i przywiozłem do siebie do Krakowa.

— Duże miał pan mieszkanie?

— Dla jednego wystarczające, dziewiętnaście metrów.

— I w tym mieszkaniu pan całą tę gromadę ulokował?

— Inaczej się nie dało.

— Ile w końcu zebrało się tych dzieci?

— Dwadzieścia. Przyjąłem jeszcze trójkę po moich braciach.

— Jak to się wszystko pomieściło?

— Na podłodze rozłożyłem materace, jedno leżało obok drugiego.

— Dawał pan radę. Niewiarygodne!

— Głodowaliśmy, to prawda. Chleb, kawa, zupa kartoflana — to było nasze pożywienie. Najgorsze jednak co mnie spotkało to oskarżenie sąsiadów, że w moim mieszkaniu przebywają nie meldowani i zagęszczają krakowskie powietrze. Pewnego dnia przyszedł dzielnicowy i jakiś cywil, obejrzeli wszystko, skontrolowali, wysłuchali mnie. Następnego dnia dzielnicowy przyszedł jeszcze raz, przyniósł pełną teczkę bułek. Dowiedziałem się o tym dopiero wieczorem, kiedy wróciłem do domu. Dzieci mi opowiedziały, że przyszedł dzielnicowy, przyniósł bułki i długo z nimi rozmawiał. Być może mnie nie ufał — pomyślałem i chwała Bogu, że wszystkiego dowiedział się od samych dzieci. Po paru dniach przyszedł dzielnicowy i przyniósł formularz do wypełnienia na zamianę mieszkania. O tej zamianie też

mógłby pan napisać małą książkę — trwała dwadzieścia lat, zanim dostałem właśnie to mieszkanie, w którym siedzimy. Tymczasem dzieci kształciłem, żeniłem. W tym mieszkaniu zainstalowały się trzy rodziny — ja stałem się mało wygodny. Tylko czyhają, żeby się mnie pozbyć...

— Nie doczekał się pan wdzięczności za te iście heroiczne wysiłki?

— Świat różnie płaci, proszę pana. Nie wolno się łudzić. Trzeba o tym pamiętać. Ci, którym najwięcej dałem serca, dla których głodowałem, stali się niewdzięcznikami. Ale inna nauka też warta jest zapamiętania: ci, z którymi razem największej doznawaliśmy niedoli, obdarzają mnie niezmienną wdzięcznością. Oni urządzili mi piękny jubileusz siedemdziesięciolecia, stawili się wszyscy. Wiem, że oni mnie nie opuszczą w żadnej biedzie.

Tak rozstaję się z panem Siarzyńskim, który wcale nie denerwuje się z powodu ołtarza Wita Stwosza, zasłoniętego płachtami folii. Fakt ten przyjmuje normalnie. Mówi: „Co jakiś czas ołtarz powinno się czyścić, jak mieszkanie". Na koniec wypisuję zdanie, jakie ktoś w imieniu krakowian wpisał do niebieskiego pamiętnika: „Oby wszystkie kolory i blaski przesławnego Ołtarza Mariackiego rozpraszały Panu smutki życia, przynosiły sercu uspokojenie, osłodę i radość".

Aleksander Szorc

Spis treści

Anna Ostrzycka
Marek Rymuszko
Stąd do nadziei 3

Jerzy Łaniewski
Trzy spojrzenia na magnificencję 49

Janusz Hańderek
Nie wiem czy to ja zabiłam 92

W cyklu „KTOŚ TAKI JEDEN"
sylwetki

WŁADYSŁAWA ŚLAZYKA 141

2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

sylwetka

WŁADYSŁAWA ŚLAZYKA

W cyklu „KTO TAM GDZIE

„EKSPRES REPORTERÓW" jest jedyną na polskim rynku wydawniczo-księgarskim reportażową serią książkową o aktualnej tematyce. Tomiki **„EKSPRESU REPORTERÓW"** ukazują się co miesiąc. W następnym tomiku przedstawimy Czytelnikom jak zwykle trzy reportaże:

- o aktualnym wydarzeniu
- społeczno-obyczajowy
- kryminalny

NIC CO CIEKAWE NIE JEST NAM OBCE!
Szukajcie **„EKSPRESU REPORTERÓW"** w kioskach „Ruchu" i księgarniach.

KAW

zł 40,–